

Merline Lovelace

Wino i słońce Prowansji

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Blake Dalton stał pośród tłumu weselnych gości wypełniających czernią i bielą foyer rezydencji jego matki w Oklahoma City. Uroczystość powoli dobiegała końca. Nowożeńcy przystanęli na marmurowych schodach, żeby panna młoda mogła rzucić bukiet. Zaraz potem mieli wyruszyć do Toskanii na miesiąc miodowy.

Blake nie czuł się pokrzywdzony, przejmując na ten czas obowiązki dyrektora generalnego Dalton International. Jako absolwent zarządzania, od prawie dziesięciu lat zajmujący się sprawami prawnymi korporacji, zdążył już znacznie udoskonalić swoje umiejętności. Zresztą obu braciom regularnie zdarzało się jednoosobowo zarządzać firmą podczas częstych podróży służbowych drugiego.

Nie, praca nie stanowiła problemu. Matka bliźniaków, Delilah Dalton, seniorka rodu, też sprawiała wrażenie zadowolonej. Blake popatrzył na nią w zamyśleniu. Wciąż miała kruczoczarne włosy, zaledwie muśnięte siwizną na skroniach. Nosila koronkową suknię od Diora w kolorze melona, a na jej twarzy malował się wyraz głębokiej satysfakcji. Blake bez trudu przejrzał tok jej myśli: jeden ślub załatwiony, czas pomyśleć o drugim.

Delilah odwróciła się, a widok malutkiego dziecka, które trzymała w ramionach, ścisnął Blake'a za serce. Od dnia, kiedy nieznana osoba pozostawiła półroczne maleństwo na progu rezydencji matki, upłynęło już kilka tygodni i przez ten czas zdążył pokochać malutką całym sercem.

Badanie DNA wykazało, że na dziewięćdziesiąt dziewięć procent miała w sobie krew Daltonów. Niestety, nie można było z podobną pewnością rozstrzygnąć, który z braci jest jej ojcem. Byli do siebie zbyt podobni. Na siedemdziesiąt siedem procent ojcem był Alex,

ale nie sposób uzyskać pewności bez przebadania DNA obojga rodziców.

Dlatego bliźniacy spędzili kilka męczących tygodni na odszukiwaniu kobiet, z którymi byli związani przed rokiem. Lista Aleksa była sporo dłuższa niż Blake'a, ale żadna z potencjalnych kandydatek, łącznie z obecną żoną Aleksa, nie była matką dziecka, a przynajmniej tak im się wydawało.

Do świadomości Blake'a zaczęły docierać odgłosy pożegnania. Podniósł głowę i zobaczył brata szukającego go wzrokiem. Miał wrażenie, że patrzy w lustro. Obaj wzięli budowę po ojcu. Podobnie jak Big Jake, byli wysocy i muskularni. Obaj mieli też jego bystre, niebieskie oczy i płowe włosy, wyłoczone gorącym słońcem Oklahomy.

Blake pochwycił wzrok Aleksa i niemal niezauważalnie potrząsnął głową. Tak jak wszystkie bliźniaki, bracia Dalton potrafili doskonale wyczuwać swój nastrój. Alex i Julie usłyszą nowiny już po powrocie z Toskanii. To da Blake'owi czas, by otrząsnąć się z wywołanego przez nie szoku i rozczarowania.

Panował nad sobą, dopóki nowożeńcy nie odjechali na lotnisko. Przez cały czas nie wypadł z roli gospodarza i nikt, nawet matka, nie podejrzewał burzy szalejącej w jego wnętrzu.

- Uff! - Zmęczona Delilah Dalton zrzuciła z nóg szpilki. - Było świetnie, ale cieszę się, że już po wszystkim. Chyba poszło nieźle, jak uważasz?

- Owszem - odparł bez entuzjazmu.

- Sprawdzę, co u Molly. - Podniosła buty i w samych pończochach weszła cicho na marmurowe schody. - Potem wezmę długą kąpiel. Zostaniesz na noc?

- Nie, wrócę do siebie. - Spokojna rozmowa wymagała ogromnego wysiłku woli. - Poproś Grace, żeby zeszła na dół, dobrze? Chciałbym z nią pomówić.

Delilah pytająco uniosła brew. Jakie wspólne tematy mógł mieć jej syn z tymczasową nianią Molly? W ciągu tych tygodni, które upłynęły od pojawienia się dziecka, Grace Templeton bezwzględnie dowiodła swojej przydatności. Właściwie stała się już częścią rodziny i nawet została druzną Julie. Družbą Aleksa był Blake. Delilah już od jakiegoś czasu powtarzała frazy o niezwykłym uroku dziewczyny i jej doskonałym kontakcie z Molly.

Blake myślał podobnie, ale dziś fakt ten raczej go irytował niż cieszył.

- Będę czekał w bibliotece.

Przynajmniej raz Delilah była zbyt zmęczona, by się wtrącać. W odpowiedzi tylko machnęła butami.

- Nie zatrzymuj jej za długo. Na pewno jest wykończona.

Blake rozwiązał muszkę i wszedł do wykładanej dębową boazerią biblioteki. Łagodne światło kontrastowało z jego złym nastrojem, który jeszcze się pogłębił, kiedy wyciągnął z kieszeni raport otrzymany przed kilkoma godzinami. Chwilę po nim do biblioteki weszła Grace Templeton.

- Witaj, Blake. Podobno chciałeś porozmawiać.

Popatrzył na nią uważnie, jakby jej nie poznawał. Przebrała się już ze zwiewnej liliowej sukienki, którą miała na sobie podczas uroczystości, i związała jasne, lśniące włosy w kucyk. Biała bluzka była pochlapana wodą.

- Przepraszam za to - powiedziała z uśmiechem w jasnobrązowych oczach. - Molly okropnie rozrabiała podczas kąpieli.

Nie odpowiedział. Stał sztywno, podczas gdy ona przysiadła na brzegu masywnej sofy.

- O czym chciałeś rozmawiać?

Dopiero teraz spostrzegła jego milczenie. Pochyliła głowę i uśmiechnęła się z zakłopotaniem.

- Coś nie tak?

- Widziałaś tego mężczyznę, który przyszedł tuż przed odjazdem Julie i Aleksa? - odpowiedział pytaniem.

- Tego w brązowym garniturze? - Kiwnęła głową, wciąż niepewna jego nastroju. - Tak, widziałam go i nawet się zastanawiałam, kim jest. W ogóle nie pasował do innych gości.

- Nazywa się Del Jamison.

Zmarszczyła brwi, usiłując jakoś umiejscowić to nazwisko.

- Jest prywatnym detektywem. Wynajęliśmy go, żeby odszukał matkę Molly.

Błysk rezerwy w cyrkonowych oczach dziewczyny pojawił się tylko na ułamek sekundy. Nie mogła jednak zapanować nad reakcją organizmu i nagle zbladła.

- Ach, tak. - Nonszalancko wzruszyła ramionami. - Podobno pojechał nawet do Ameryki Południowej, sprawdzić ostatecznie miejsce pracy Julie.

- Tak, ale kiedy okazało się, że to nie Julie jest matką Molly, poszedł innym tropem. Kalifornijskim.

Tym razem jej wyrazista twarz zdradzała widoczne zaniepokojenie.

- Kalifornijskim?

- Tak. Streszczę ci jego raport. - Blake posłużył się tonem używanym na sali sądowej, zimnym, obojętnym, całkowicie wypranym z emocji. - Jamison odkrył, że pewna kobieta, która podobno zginęła w wypadku autobusu, nawet nim nie jechała. Zmarła dopiero niemal rok później.

Miał z tą kobietą krótki romans, a potem, bez słowa wyjaśnienia, po prostu znikła z jego życia. Dziś już rozumiał, że stało się to za namową tej, na pozór tak łagodnej, brązowookiej intrygantki, która podstępem wkradła się w łaski jego rodziny.

A teraz próbowała się zachowywać, jak gdyby nigdy nic.

- Nie rozumiem, co to ma wspólnego ze mną. Naprawdę miał ochotę mocno nią potrząsnąć.

- Jamison twierdzi, że zaledwie kilka tygodni przed śmiercią ta kobieta urodziła córeczkę.

Jego dziecko.

- Podobno w dniu jej śmierci w szpitalu pojawiła się jej przyjaciółka. - Zaciśniętą pięścią uderzył w oparcie kanapy. - Dziewczyna o długich jasnych włosach.

- Blake! - Pocętkowane złotymi plamkami oczy rozszerzył lęk. - Proszę, wysłuchaj mnie.

- Nie, Grace, jeżeli rzeczywiście tak masz na imię - odparł głosem ostrym jak smagnięcie batem. - To ty mnie wysłuchaj. Nie wiem, ile zamierzałaś wyłudzić od mojej rodziny, ale gra skończona.

Zgięła się wpół, jakby ją uderzył.

- Nie chcę waszych pieniędzy!

- A czego chcesz?

- Tylko... tylko... Och, daj mi spokój!

Nie ruszył się z miejsca i nadal stał tuż przed nią.

- Tylko co?

Sprowokowana, bezsilnie uderzyła pięściami w jego pierś. Jej lęk minął. Była teraz wściekła.

- Chciałam tylko, żeby Molly miała dobry dom.

Wyprostował się wolno i równie wolno cofnął się o krok. Skrzyżował ramiona na piersi i utkwiał w niej ciężki wzrok.

- Zaczniemy jeszcze raz od początku. Kim ty właściwie jesteś?

Grace przysiadła na oparciu sofy. W głowie miała zamęt. Po strasznych wcześniejszych przeżyciach jeszcze i to? Właśnie teraz, kiedy po raz pierwszy od miesiąca zaczęła swobodniej oddychać? Kiedy zaczęło jej się wydawać, że razem z tym mężczyzną mogłaby...

- Kim jesteś?

Powtórzył pytanie, wyrywając ją z zamyślenia. Poznała go zaledwie dwa miesiące wcześniej. Od początku zrobił na niej wrażenie jego spokój i opanowanie. Podziwiała sposób, w jaki potrafił łagodzić spięcia pomiędzy jego wybuchowym bratem bliźniakiem a ich upartą matką. Ach, Delilah! Z drzeniem pomyślała o wyjawieniu choćby części prawdy kobiecie, która z pracodawczyni stała się jej przyjaciółką.

Podniosła wzrok i napotkała lodowate spojrzenie Blake'a.

- Jestem tym, za kogo się podaję. Nazywam się Grace Templeton. Jeszcze kilka miesięcy temu uczyłam wiedzy o społeczeństwie w San Antonio.

Przerwała, próbując nie wracać do tamtego życia, wymazać z pamięci obraz młodych ludzi, z którymi tak bardzo lubiła pracować.

- Kilka miesięcy temu - powtórzył Blake w ciężkiej ciszy - poprosiłaś o przedłużony urlop na opiekę nad chorą krewną. Przynajmniej taką bajkę nam opowiedziałaś. A dyrektorowi twojej szkoły?

Musiał ją sprawdzić. W przeciwnym razie ani Delilah, ani jej synowie nie pozwoliliby jej zbliżyć się do dziecka. Nie wiedzieli jednak, że w ciągu ostatnich kilku lat nauczyła się tak dobrze lawirować, że bez trudu przeszła tę próbę.

- To nie była bajka.

Blake ze świstem wypuścił oddech. W niebieskich, zwykle przyjaźnie uśmiechniętych oczach, czaiła się groźba.

- Ty i Anne Jordan byłyście spokrewnione? Anne Jordan. Emma Lang. Janet Blair. Tak wiele fałszywych nazwisk. Tak wiele gorączkowych telefonów i desperackich ucieczek. Grace ledwie nad tym wszystkim panowała.

- Była moją kuzynką.

To niewiele mówiące określenie nie dawało pojęcia o bliskości Grace i dziewczyny, która dorastała w sąsiednim domu. Łączyła je więc znacznie silniejsza niż pokrewieństwo.

Były najlepszymi przyjaciółkami, razem bawiły się lalkami, szeptały sobie do ucha sekrety i dzieliły każde wydarzenie w ich młodym życiu.

- Byłaś przy niej, kiedy zmarła?

Pytanie przywołało wspomnienia i oczy Grace zamglily łzy.

- Tak - szepnęła. - Byłam przy niej.

- A dziecko? Molly?

- Jest twoją córką. Twoją i Anne.

Blake odwrócił się i Grace widziała teraz tylko jego plecy obciążone frakową marynarką. Bardzo chciała móc mu powiedzieć, że jest jej przykro z powodu wszystkich kłamstw i oszustwa. Ale gdyby nie one, Anne nie dożyłaby spędzonych z nim chwil.

- Anne zawiadomiła mnie - kontynuowała wobec tego - że złapała złośliwą infekcję. Błagała, żebym do niej przyjechała. Wsiadłam do samolotu jeszcze tego samego dnia po południu, a kiedy dotarłam na miejsce, była już w śpiączce. Zmarła wieczorem.

Blake odwrócił się do niej bokiem. Z jego oczu wyczytała niewypowiedziane pytanie. Grace postarała się odpowiedzieć tak uczciwie, jak umiała.

- Anne nie wymieniła ciebie jako ojca Molly. Była prawie nieprzytomna po tych wszystkich lekach, które w nią wpompowali. Ledwo dało się ją zrozumieć. Właściwie dotarło do mnie tylko nazwisko Dalton. Wiedziałam, że pracowała tutaj, więc...

Przerwała, przygnieciona ciężarem wspomnień.

- Więc przywiozłaś Molly do Oklahoma City - dokończył za nią Blake, starannie oddzielając każde wypowiedziane słowo.  
- Zostawiłaś ją na progu domu mojej matki i postarałaś się o pracę jako jej niania. Pewno bawiło cię obserwowanie, jak



obaj z bratem stajemy na głowie, żeby ustalić, który z nas jest ojcem Molly.

- Już ci mówiłam, że nie wiedziałam, który to z was. Przynajmniej, dopóki trochę cię nie poznałam.

Nawet i wtedy nie mogła być pewna. Bracia wyróżniali się nie tylko ostrą jak brzytwa inteligencją i zniewalającą urodą. Grace doskonale rozumiała, że Anne mogła zafascynować charyzmą i pewnością siebie Aleksa. Początkowo to jego uważała za ojca Molly, dopóki sama nie uległa urokowi spokojnej siły i chłodnej rzetelności Blake'a.

Rezerwa i niezależność Blake'a uczyniły jej już i tak niełatwe zadanie jeszcze trudniejszym. Na oko przyjacielski i łatwy we współżyciu, nie zdradzał się ze swoimi myślami i starannie chronił swoją prywatność. Jeżeli miał romans z którąś z pracownic firmy, widziała o tym tylko dwójka zainteresowanych i, być może, jego brat.

Grace miała nadzieję, że testy DNA ostatecznie rozwieją wątpliwości i ich niepewny wynik doprowadził ją do frustracji. W dodatku obaj bracia zaczęli teraz na gwałt poszukiwać matki Molly, a ona obiecała Anne, że jej sekret nigdy nie ujrzy światła dziennego. Nie miała wyboru: od tego zależała przyszłość dziecka. A teraz Blake był o krok od odkrycia prawdy. Nie może mu zdradzić tajemnicy Anne, ale spróbuje zaproponować pewne rozwiązanie.

- Jak rozumiem, bez zbadania DNA matki nie można stwierdzić z absolutną pewnością, który z was jest ojcem Molly. Anne została poddana kremacji, a ja nie mam niczego, co mogłoby dostarczyć próbki.

Ani szczotki do włosów, ani szminki czy choćby pocztówki z poślinionym znaczkiem. Matka dziewczynki latami żyła w strachu, a kiedy umierała, zdołała tylko wydobyć od kuzynki przyrzeczenie, że zadba o przyszłość Molly.

- Możesz przebadać moje DNA - zaproponowała, zdecydowana dotrzymać obietnicy. - Czytałam, że mitochondria dziedziczy się wyłącznie przez linię żeńską.

Zrobiła, co mogła. Cały czas, wolny od opieki nad Molly, spędziła przed komputerem. Od prób rozszyfrowania naukowych terminów pękała jej głowa, w końcu jednak zdobyła pożądaną wiedzę. W jej świetle, jej DNA wystarczyłoby, by potwierdzić ojcostwo któregoś z braci.

Blake nie mógłby nie wykorzystać takiej możliwości.

- Dobrze. Ale do czasu odebrania wyników masz się trzymać z dala od Molly.

- Dlaczego?

- Bo tak. Chcę, żebyś się wyprowadziła. Zaraz.

- Żartujesz!

Ani mu to było w głowie. Błyskawicznie znalazł się tuż przed nią, żelaznym uściskiem unieruchomił jej ramię, gwałtownym szarpnięciem podniósł ją z sofy i skierował w stronę drzwi biblioteki.

- Blake, na litość boską! - Zaskoczona i rozgniewana, usiłowała z nim walczyć. - Opiekuję się Molly od tygodni! Nie mogę jej tego zrobić.

- Mam wrażenie - odparł - że w twojej historii jest masa niespójności. Dopóki nie zostaną wyjaśnione, chcę cię mieć na oku dzień i noc.

## ROZDZIAŁ DRUGI

- Wsiadaj.

Otworzył drzwi od strony pasażera swojego sportowego mercedesa. Otoczył ich żar parnego lipcowego wieczoru, duszący jak obawa i lęk ściskający Grace za gardło.

- Dokąd jedziemy?

- Do miasta.

- Muszę powiedzieć Delilah - zaprotestowała. - I zabrać swoje rzeczy.

- Wszystko jej wyjaśnię, a rzeczy ktoś ci przywiezie.

Sprawy toczyły się tak szybko, a jego niespodziewana gwałtowność zupełnie zbiła ją z nóg. Zawsze był taki miły, grzeczny, troskliwy... Odkąd zamieszkała u Daltonów, spotykała się wyłącznie z jego anielską cierpliwością w stosunku do czasem naprawdę nieznośnej matki, uprzejmością w stosunku do służby i dobrocią dla Molly.

Wsiadła do samochodu, pomimo późnej pory mocno nagrzanego od lipcowego słońca. W wieczornej ciszy kliknięcie zapinanego pasa rozległo się jak wystrzał.

Gdy mercedes toczył się w dół krętego podjazdu, przez głowę Grace przebiegały dziesiątki pytań. Czy jej życie znów zostanie wywrócone do góry nogami? W ciągu ostatnich kilku lat zdarzyło się to wielokrotnie. Zazwyczaj wystarczał jeden telefon od Hope.

Nie, poprawiła się w myślach. Nie Hope. Anne. Choć kuzynka już nie żyła, Grace musiała pamiętać i wspominać ją jako Anne.

Powtarzała to jak mantrę, gdy mercedes mknął w noc. Powtarzała ją jeszcze, gdy Blake wjechał na podziemny parking budynku dyrekcji Dalton International w centrum Oklahoma City. Choć otworzył szlaban pilotem, strażnik wyszedł z budki i uklonił się z szacunkiem.

- Dobry wieczór, panie Dalton.

- Dobry wieczór, Roy.
- Pański brat z żoną wyjechali już w podróż poślubną, tak?
- Zgadza się.
- Życzę im wszystkiego najlepszego. - Pochylił się niżej i przytknął dwa palce do daszka czapki.
- Jak się pani ma, pani Templeton? Grace zmusiła się do uśmiechu.
- Dziękuję, dobrze.

Nie była zaskoczona tak przyjaznym powitaniem. Często tu bywała razem z Molly i jej babką. Delilah wprawdzie przekazała synom kontrolę nad firmą, ale nie przestawała się wtrącać w ich życie, zarówno służbowe, jak i prywatne. Obie z Molly były więc częstymi gośćmi w salach konferencyjnych Dalton International. Równie często pojawiały się w penthousie, gdzie obaj synowie mieli swoje apartamenty.

Tamże znajdował się też luksusowy apartament dla firmowych gości. I chyba właśnie tam postanowił umieścić ją Blake. Potwierdził jej przypuszczenie, zatrzymując się przy recepcji, by odebrać kartę - klucz. W chwilę później mknęli w górę szybką windą o przeszklonych ścianach.

Na początku nie była w stanie rozróżnić bliźniaków. Obaj mieli włosy barwy starego złota, rzeźbione rysy i szerokie bary, widok obu był uczłą dla oka.

Ale stosunkowo szybko zaczęła dostrzegać różnice. Alex był bardziej towarzyski, o szelmowskim uśmiechu, który sprawiał, że kobiety lgnęły do niego bez najmniejszych starań z jego strony. Blake był spokojniejszy, jego urok nieco mniej oczywisty, a uśmiech leniwy i ciepły...

Zatrzymanie windy przywróciło ją do rzeczywistości. Drzwi rozsunęły się, Blake ujął ją za ramię i poprowadził po miękkiej wykładzinie holu ku rzędom dębowych drzwi.

Nagle rozzłoszczona, zdecydowanym gestem uwolniła się z jego uścisku.

- Wypędziłeś mnie z domu twojej matki jak złodzieja złapanego na kradzieży. Zmusiłeś mnie, żebym tu z tobą przyjechała w środku nocy. Nie zrobię już ani kroku, jeżeli nie przestaniesz się zachowywać jak gestapowiec.

Uniósł brwi i znacząco popatrzył na zegarek.

- Dwadzieścia dwie po dziewiątej trudno nazwać środkiem nocy.

Ależ był denerwujący! Teraz jego podziwiane wcześniej opanowanie zaczynało ją irytować. Choć z drugiej strony może rzeczywiście zasługiwał na wyjaśnienia. W końcu kiedyś kochał Anne.

- Dobrze - powiedziała już bez złości, tylko ze smutkiem.

- Pytaj, o co chcesz.

Kiwnął głową i weszli do apartamentu dla gości. Grace była tu już kilkakrotnie i nieodmiennie wspaniały widok zapierał jej dech w piersi.

Przeszklone ściany ukazywały stuosiemdziesięciostopniową panoramę miasta. Widok był spektakularny w dzień, oferując widok z lotu ptaka na kopulasty budynek Kapitolu, rzekę Oklahoma i barwne barki dla turystów.

W jasną, pogodną noc wszystko było jeszcze bardziej niezwykle. Wieżowce lśniły jak latarnie morskie. Białe lampki migotały na drzewach rosnących wzdłuż meandrującej rzeki. Ale największe wrażenie robiła ogromna statua na podświetlonym Kapitolu. Grace urodziła się i wychowała w Teksasie, ale jako wykładowca wiedzy o społeczeństwie wiedziała dosyć o historii południowego zachodu, by docenić głęboką symbolikę ogromnej rzeźby z brązu. Znała jej dokładną historię od Delilah, która udzielała się w Komitecie zbierającym na nią fundusze.

Ustawiony w dwa tysiące trzecim roku Strażnik z włócznią, o masywnym, muskularnym ciele, z podniesioną głową, symbolizował nie tylko tysiące rdzennych Amerykanów, którzy zostali zmuszeni do opuszczenia swoich domów i osiedlenia się na terytorium Indian, ale i mieszkańców Oklahomy, którzy zaczęli wydobywać paliwo z czerwonej, twardej jak cegła ziemi, co pozwoliło na rozwój przemysłu samochodowego. Postać Strażnika symbolizowała także tych, którzy przetrwali na wyniszczającym obszarze pustynnym w latach trzydziestych, i tych, którzy pracowali w zakładach samolotowych Douglasa w latach czterdziestych, budując i naprawiając myśliwce i bombowce. A bardziej współcześnie także i tych, którzy przekopali się przez dziewięć kondygnacji gruzu, by wydobyć ciała przyjaciół i współpracowników, zabitych w zamachu bombowym w Murrah Building.

Grace i Hope... Nie! Grace i Anne przyjechały tu z Teksasu podczas nauki w szkole średniej, żeby zobaczyć wystawę poświęconą tym wydarzeniom. Żadna z nich nie potrafiła sobie wyobrazić, jak pochodzący stąd terrorysta mógł być tak okrutny, tak wynaturzony psychicznie i moralnie. A w niecały rok później jej kuzynka poznała Jacka Petriego.

Zadygotała, ogarnięta nagłym chłodem.

- Nie mogę ci opowiedzieć o przeszłości Anne - powiedziała słabo. - Przyrzekłam, że zostanie pogrzebana razem z nią. Mogę ci tylko wyznać, że byłeś jedynym mężczyzną, do którego zbliżyła się w ciągu swoich ostatnich dziesięciu lat.

- Myślisz, że to mi wystarczy?

Rozwiązał muszkę i zdjął smoking. Czarna satynowa szarfa podkreślała wąską talię. Biała koszula z plisowanym gorsem wciąż wyglądała doskonale świeżo.

- Masz więcej kuzynek? - spytał z zawołaną pogroźką w tonie. - Jamison sprawdzi to bez trudu.

- Nie wątpię - odparła. - Ale poza aktem urodzenia Anne, prawem jazdy i kilkoma fotkami z czasów szkolnych, nic nie znajdzie. Postarałyśmy się o to.

- Nie można tak po prostu wymazać całego swojego życia.

- Ona to zrobiła.

Grace usiadła na jednej ze skórzanych sof, Blake naprzeciwko niej, oddzielony szklanym blatem stolika do kawy.

- To nie było łatwe. Ani tanie. - Pomyślała o swoim pustym rachunku bankowym. - Ale możliwe do zrobienia przy pomocy przyjaciół i ich przyjaciół, zwłaszcza jeżeli ktoś ma dostęp do ważnych danych komputerowych.

Na przykład do danych statystycznych. Wymagało to kilku poważnych hakerskich akcji, ale udało się wymazać z dokumentów każdy ślad małżeństwa Hope Patricii Templeton z Jackiem Davidem Petriem.

Grace ogarnął znajomy smutek. Jej biedna, naiwna kuzynka uwierzyła, że Petrie, będzie ją kochał, szanował i zaspokajał jej wszystkie potrzeby. Jak się okazało w następnych miesiącach, Petrie uznał, że jego żona nie potrzebowała dostępu do rachunku bankowego, karty kredytowej ani pracy. Nie musiała też głosować.

I tak żaden z kandydatów nie był wart zachodu. Jego zadaniem nie potrzebowali też rozmowy z adwokatem, kiedy do Hope w końcu dotarło, że została pozbawiona wszelkich praw.

Uzależniona finansowo, zdominowana emocjonalnie, spędziła długie lata w kompletnej izolacji, jak cień siebie samej. Wychodziła tylko, jeżeli Jack chciał się pochwalić swoją piękną żoną, a potem znów wracała do jego łóżka.

Szybko odciął ją też od rodziny i przyjaciół, wszystkich poza Grace, która za wszelką cenę starała się nie stracić z nią kontaktu, choć złościł się i buntował. Do dziś nie była pewna, czy tamte okropne chwile na międzystanowej, kiedy okazało się, że ma uszkodzone hamulce, były na pewno wynikiem mechanicznej usterki.

Z czasem obie z Hope stały się bardziej ostrożne. Żadnych wizyt, żadnych listów czy mejli, które mogłyby zostać przechwycone; żadnych telefonów do domu. Kontaktowały się wyłącznie za pomocą płatnego telefonu w sklepie spożywczym, gdzie Jack pozwalał żonie robić zakupy. Nawet przy wsparciu Grace Hope potrzebowała jeszcze roku, by zebrać odwagę i zdobyć się na ucieczkę.

Grace nie chciała pamiętać strasznych lat, jakie nastąpiły potem. Panicznego lęku. Nieskończonych przeprowadzek. Serii fałszywych tożsamości, każdej kosztowniejszej od poprzednich. W końcu kobieta o nazwisku Anne Jordan znalazła anonimowość i wątłe poczucie bezpieczeństwa w Dalton International. Była tam jedną z tysięcy zatrudnionych w oddziałach firmy na całym świecie. Początkującą urzędniczką ze średnim wykształceniem. Nie była to pozycja, która dałaby jej kontakty wśród szefostwa.

- Proszę, Blake. Proszę, uwierz, że Anne chciała, by jej przeszłość została pogrzebana wraz z nią. Pragnęła tylko, by Molly miała choć ojca, skoro musiała stracić matkę.

Pewno najbardziej chodziło o to, by Molly miała oparcie w kimś całkowicie nieznanym Jackowi Petriemu.

Grace modliła się, by Blake dał się przekonać, ale okazało się to niemożliwe. Jako prawnik nie spocznie, dopóki nie pozna najdrobniejszego szczegółu. Ona jednak będzie musiała próbować powstrzymać jego zapędy.

- Nie miałam zbyt dużo okazji, by spotykać się z Anne w jej ostatnim roku.



Przede wszystkim, nie miała odwagi. Jack Petrie był policjantem w stanie Teksas, miał wszędzie kumpli. Grace wiedziała, że kilkakrotnie ją śledził, podsłuchiwał jej telefon i założył w samochodzie pluskwę, licząc, że doprowadzi go do żony. Grace korzystała z uprzejmości swoich przyjaciół, używając ich samochodów i telefonów, żeby zachować choćby minimalny kontakt z kuzynką.

Jack nie wiedział o jej ostatniej wyprawie do Kalifornii. Tego była pewna. Do cna opróżniła konto, przyjaciel zawiózł ją na lotnisko, a za bilet do Vegas zapłaciła gotówką. Tam wynajęła samochód i przejechała przez pustynię do szpitala w San Diego, gdzie leżała Anne.

Pięć dni później wracała tą samą drogą razem z Molly. Tym razem nie leciała samolotem, tylko za gotówkę kupiła bilety na autobus do Oklahoma City.

Odkąd została nianią Molly, nie używała telefonu komórkowego ani karty kredytowej. Nie realizowała nawet czeków, które wystawiała dla niej Delilah. Początkowo planowała, że kiedy Molly oswoi się z rodziną ojca, wróci do nauczania, z czasem jednak myśl o rozstaniu z dzieckiem stawała się coraz bardziej bolesna.

Niemal tak samo niechętnie myślała o rozstaniu z Blakiem. Ostatnio był obecny w jej myślach niemal nieustannie, a zwłaszcza w nocy, kiedy Molly już spała.

- Opowiedz mi, jak się poznaliście - poprosiła.

W końcu był miłością życia Anne, która spotkała go jakby na przekór wszystkiemu, co przeszła wcześniej. - I jak... jak.

- Jak to się stało, że urodziła się Molly? - podpowiedział.

- Tak. Anne była bardzo nieśmiała w stosunku do mężczyzn.

Nieśmiała miało tu oznaczać, że się ich bała. Grace nie mogła sobie wyobrazić, jak Blake'owi udało się przełamać te bariery.

- Proszę - powiedziała miękko. - Powiedz mi. Chciałabym móc wierzyć, że przed śmiercią zaznała choć trochę szczęścia.

Patrzył na nią przez chwilę, potem wypuścił długo wstrzymywany oddech.

- Myślę, że była szczęśliwa przez te kilka tygodni, kiedy byliśmy razem. Choć pewności mieć nie mogę. Zależało jej, żeby nikt nie wiedział, że się spotykamy. Twierdziła, że to nie wypada: dyrektor generalny i zwykła urzędniczka.

Oparł dłonie na kolanach i zapatrzył się we wspomnienia. Chyba nie spodobało mu się to, co zobaczył, bo na jego twarzy zagościł wyraz niechęci do samego siebie.

- Nie pozwoliła zaprosić się na kolację, do teatru, nigdzie, gdzie moglibyśmy zostać zauważeni. Spotykaliśmy się tylko u niej albo w hotelu.

Grace wiedziała, że to było konieczne. Anne nie mogła ryzykować, że jakiś wścibski reporter wspomni o nowej miłości Blake'a Daltona albo, co gorsza, zrobi im zdjęcie, które trafi do internetu.

Wspólne bywanie w hotelach też było ryzykowne. Anne bała się tak bardzo, że kiedy zaszła w ciążę, nie widziała innego wyjścia jak uciec. Bardzo pragnęła tego dziecka, ale nie mogła przyznać się do ciąży. Blake nalegałby, by dać dziecku nazwisko. A ona miała fałszywą tożsamość i nie mogła poddać się żadnym procedurom prawnym. Gdyby podała swoje prawdziwe dane, Petrie natychmiast wpadłby na jej trop. Dlatego znów uciekła.

- A ty? Naprawdę ją kochałeś?

Nie zamierzała o to pytać, ale słowa same się jej wymknęły. To wszystko było bardzo romantyczne...

- Nie wiem - odparł, wyrywając ją z rozmarzenia. - Zależało mi na niej - kontynuował, mówiąc jakby bardziej do siebie niż do niej. - Kiedy odeszła bez słowa, byłem zły i zraniony.

Zobaczyła w jego oczach żal i skruchę.

- Potem, kiedy dostałem raport o wypadku autobusu... - przerwał i rzucił Grace oskarżające spojrzenie. - Nie byłam z nią wtedy - tłumaczyła słabo. - Jechała swoim samochodem. Autobus zjechał z drogi

i uderzył w podporę mostu tuż przed nią. Anne pobiegła na pomoc.

- I zostawiła torebkę na miejscu katastrofy?

- Tak.

- Specjalnie?

- Tak.

- Dlaczego?

Grace potrząsnęła głową.

- Nie mogę ci powiedzieć. W ogóle nie mogę ci powiedzieć nic więcej. Przyrzekłam Anne, że jej przeszłość umrze razem z nią.

- Ale tak się nie stało - odparł. - Jest przecież Molly...

Przyklękła przed nim, desperacko pragnąc, by dał już spokój wypytywaniu.

- Masz córkę, Blake. Po prostu to zaakceptuj i ciesz się nią.

Milczał długo i już myślała, że nie odpowie. Kiedy to zrobił, znów powiało chłodem.

- Na poparcie tego, co mówisz, mam tylko twoje słowo. Dam do przebadania twoje DNA, a potem zdecydujemy co dalej.

- Muszę wrócić do Molly. Twoją matkę bardzo zmęczyły przygotowania do uroczystości. Powiedziała mi nawet, że czuje już swoje lata. Nie możesz na nią zrzucić opieki nad małym dzieckiem.

- Damy sobie radę. Ty zostaniesz tutaj.

Wstał i podszedł do barku po przeciwnej stronie pokoju. Miała nadzieję, że naleje im obojgu, żeby splukać smutek i

gorycz minionej godziny, ale podniósł tylko jedną kryształową szklanę.

- Zdrowie - powiedział sucho.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Melodyjny dźwięk dzwonka do drzwi dotarł do świadomości Grace jakby z oddalenia. Kiedy melodyjka ustąpiła miejsca niecierpliwemu bębnieniu, podparła się na łokciu i zamglonym wzrokiem spojrzała na zegarek obok łóżka.

O, nie! Siódma dwadzieścia. Przespała pierwsze karmienie Molly.

Odrzuciła kołdrę, wyskoczyła z łóżka i dopiero wtedy dotarła do niej prawda. To nie był jej pokój w rezydencji Delilah, a ona nie opiekowała się już Molly.

Błyskawicznie przypomniała sobie koszmar ubiegłego wieczoru. Drżącymi dłońmi włożyła okropnie pogniecione spodnie khaki i białą bluzkę. Domyślała się, kto czeka za drzwiami. Spędziła przecież ponad miesiąc z często despotyczną, czasami wybuchową, zawsze jednak życzliwą matką Blake'a Daltona.

Nie spodziewała się tylko, że Delilah weźmie ze sobą dziecko. Szybko odsunęła mosiężną zasuwkę, przepelniona miłością, troską i poczuciem winy.

- Delilah, ja...

- Nie śmieję tak do mnie mówić. - Starsza pani wmaszerowała do środka, a obcasy jej butów stuknęły groźnie o marmurową posadzkę foyer. - Nie waż się zwracać do mnie po imieniu.

Grace zamknęła drzwi i poszła za gościem do salonu. Żałowała, że nie zdążyła się uczesać i umyć. W dodatku miała wielką ochotę na kawę.

Przez większą część nocy tylko przewracała się bezsennie, a kiedy zapadała w krótką, niespokojną drzemkę, śniła o Anne i Blake'u. Ocknęła się ze wspomnień, dopiero gdy Delilah rzuciła torbę na sofę i wyciągnęła Molly z nosidełka.

Grace mimochodem zauważyła, że jej pracodawczyni wybrała na ten dzień motyw dżungli. Torba przypominała skórę zebry, uśmiechnięte małpy zdobiły ubranko małej. Dalilah natomiast miała na sobie body w leopardzie cętki i obszerny, czarny T - shirt z tekstem i rysunkiem zachęcającym do odwiedzenia wspieranego przez nią i jej przyjaciół ZOO.

- Nie stój tak - burknęła teraz do Grace. - Wyjmij kocyk.

Kocyk też był w falujące pasy, zielone, żółte i czerwone. Grace rozłożyła go w bezpiecznej odległości od stolika. Molly zaczynała właśnie raczkować.

Delilah usadziła Molly na kocyku i wycelowała wskazujący palec w Grace.

- Siadaj. - Sama opadła na sąsiednie krzesło. - I mów.

- Może zaparzę kawy? - Grace zerknęła z nadzieją na nowoczesny ekspres. - To potrwa tylko chwilę.

- Daj spokój kawie. Mów.

Grace westchnęła i przeczesła palcami splątane włosy. Najwyraźniej Delilah nie zamierzała jej niczego ułatwić.

- Nie wiem, co powiedział pani Blake... - zamilkła wyczekująco, ale nie otrzymała odpowiedzi. - Dobrze, w skrócie wygląda to tak. Matka Molly była moją kuzynką. Pracowała w Dalton International i miała romans z jednym z pani synów. Nie powiedziała mi, z którym, więc przywiozłam Molly tutaj i postarałam się o pracę jako jej niania, dopóki Blake i Alex nie ustalą kwestii ojcostwa.

Delilah przyszpiliła ją spojrzeniem zdolnym przewiercić stal.

- Skoro jeden z moich synów jest ojcem dziecka, dlaczego ta twoja kuzynka mu o tym nie powiedziała?

Grace usztywniła się. Chronienie Anne stało się dla niej tak naturalne jak oddychanie. Nikt nie miał pojęcia, co jej kuzynka musiała przecierpieć. Dlatego nie pozwoli się zastraszyć nawet władczej Delilah Dalton.

- Powiedziałam to już Blake'owi i powtarzam pani. Anne miała ważne powody, by postąpić tak, a nie inaczej, ale nie chciała, by jej dziecko zostało pozbawione korzeni.

- Tylko mnie nie pouczaj, dziewczyno!

Jej podniesiony głos przestraszył dziecko i Molly upadła na boczek. Obie kobiety instynktownie pochyliły się nad nią, ale mała już podciągnęła się na czworaki.

Delilah mówiła teraz ciszej i spokojniej.

- To ja dałam ci pracę, pamiętasz? Zaufałam ci i wpuściłam cię do domu.

Grace niewiele mogła powiedzieć na swoją obronę, a słowa o zaufaniu były wystarczająco bolesne.

- Naprawdę mi przykro, że nie mogłam pani powiedzieć o moich powiązaniach z Molly.

- Ha!

- Obiecałam kuzynce zadbać o to, żeby dziecko miało kochający dom. - Popatrzyła na Molly i przeniosła wzrok na Delilah. - I tak się stało. Jest zadbana i kochana.

Delilah wydała dźwięk bliski parsknięciu, ale nie odzywała się przez dłuższą chwilę.

- Zawsze byłam dumna z mojej umiejętności oceny ludzi - powiedziała w końcu. - Nawet ten rogaty kozioł, którego poślubiłam, zrobił dokładnie to, czego się po nim spodziewałam.

Grace nie komentowała jej słów. Podobno Delilah nie posiadała się z żalu, że jej mąż zmarł, zanim zdołała odkryć jego romans. Wtedy z pewnością jego odejściu towarzyszyłoby dużo większe zamieszanie.

- Czy teraz powiedziałaś mi prawdę?

- Tak, proszę pani.

- Matka Molly naprawdę była twoją kuzynką?

- Tak.

- Cóż, zapewne już wkrótce się o tym przekonamy. To laboratorium zarobi na nas fortunę. - Ściągnęła wargi i trwała tak przez chwilę, zanim oznajmiła swoją decyzję. - Obserwowałam cię przy Molly i nie wierzę, żebyś naprawdę chciała wyciągnąć od nas pieniądze. Ale będziesz musiała przekonać o tym Blake'a.

- Nie mogę mu powiedzieć nic więcej.

- Nie znasz go. Ma swoje sposoby, by dostać to, czego chce. Podobnie jak ja. - Wstała i sięgnęła po nosidełko. - Chodź, Molly. Pójdziemy do taty.

Grace podniosła się odruchowo, żeby jej pomóc. Wzięła dziecko na rękę i ucałowała w oba policzki, a potem umieściła je w nosidełku. Delilah pozapinała paski, a Grace w tym czasie zwinęła pasiasty kocyk i włożyła go do torby.

- Przykro mi, że Blake nie chce, żebym pomagała przy Molly.

- Damy sobie radę, dopóki wszystko jakoś się nie wyjaśni.

Jeżeli się w ogóle wyjaśni. W miarę upływu czasu Grace denerwowała się coraz bardziej. Na polecenie Blake'a jej rzeczy spakowano i dostarczono do gościnnego apartamentu. Jednak nie skontaktował się z nią osobiście, co ją zmartwiło i zabolalo. Dopiero teraz, kiedy została usunięta z życia rodziny, uświadomiła sobie, jak bardzo się do nich przywiązała. Ale najbardziej tęskniła za Molly.

Przewidywała oczywiście, że w jakimś momencie będzie musiała rozstać się z małą. Im dłużej pozostawała w Oklahoma City, tym bardziej było prawdopodobne, że wytropi ją Jack Petrie. Dlatego przeraziła się nie na żarty, kiedy Blake zadzwonił do niej tuż po osiemnastej.

- Muszę z tobą pomówić - oznajmił krótko.

- Dobrze.

- Będę za kilka minut.



Przynajmniej tym razem była trochę lepiej przygotowana do rozmowy z nim niż poprzednio. Nie miała już czasu zmienić dżinsowych szortów i spłowiałego T - shirtu na coś bardziej eleganckiego, ale jej gość też był ubrany dosyć swobodnie. Sprane dżinsy wisiały mu nisko na biodrach, a muskularne ciało okrywał czarny T - shirt. W dodatku policzki i brodę pokrywał mu złocisty zarost. Choć minę miał raczej ponurą, wyraz niebieskich oczu wydawał się łagodniejszy niż poprzednio.

- Mam już wyniki badań DNA.

Gestem zaprosiła go do salonu, ale przystanął w progu.

- Nie zapytasz?

- Po co? - Wzruszyła ramionami. - Jeżeli nie popełnili błędu, wyszło, że obie z Molly pochodzimy z tego samego pnia.

- Nie popełnili błędu.

- To dobrze. - Skrzyżowała ramiona na piersi. - I co z tego?

Na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie.

- A czego się spodziewałeś? Mam ci się rzucić na szyję z wdzięczności?

Właściwie nie miałyby nic przeciwko temu i poczucie winy kazało jej cofnąć się o krok. Ten mężczyzna był ojcem dziecka Anne.

- Teraz masz pewność - powiedziała. - Molly jest twoją córką i wiem, że będziesz świetnym ojcem. A ja mogę spokojnie wrócić do San Antonio. Przed wyjazdem wstąpię pożegnać się z małą.

- Tak po prostu? - Zmarszczył karcąco brwi. - Zamierzasz tak po prostu zniknąć z jej życia?

- Będę się z nią spotykała od czasu do czasu.

Jeżeli tylko zyska pewność, że Jack Petrie nie dowiedział się o jej pobycie w Oklahoma City.

- Musimy pozatłatwiać sprawy urzędowe - zaprotestował.
- Potrzebuję aktu urodzenia Molly i aktu zgonu jej matki.

Oba te dokumenty były wystawione na fałszywe nazwisko, którym Anne posługiwała się w Kalifornii. Grace mogła mieć tylko nadzieję, że takie dokumenty wystarczą dla potrzeb Blake'a. Przy koneksjach jego rodziny powinny. Przepchnie w sądzie, co tylko będzie chciał.

- Prześlę ci kopie.

- Dobrze. - Zawahał się przez chwilę. - Wiesz chyba, że pomógłbym Anne, gdybym tylko wiedział, że ma kłopoty.

- Wiem - odpowiedziała miękko. Spojrzał jej w oczy.

- Anne nie potrafiła mi zaufać, ale ty możesz, Grace. Naprawdę bardzo tego chciała. Z trudem wydobyła słowa przez ściśnięte wzruszeniem gardło.

- Ufam, że z miłością zaopiekujesz się Molly.

Pożegnanie z dzieckiem było równie trudne jak pożegnanie z Blakiem. Na jej widok Molly zaczęła słodko gaworzyć i uniosła oba ramionka, domagając się przytulenia.

Grace rozkleiła się na dobre, dopiero gdy wynajętym samochodem ruszyła międzystanową na południe. Łzy ciekły jej ciurkiem przez następne kilkadziesiąt kilometrów. Kiedy wjeżdżała przez Red River do Teksasu, miała do cna wysuszone gardło i tak zapuchnięte oczy, że musiała się zatrzymać w przydrożnym barze, by przemyć twarz zimną wodą. Sześć godzin później wjeżdżała na przedmieścia San Antonio.

Jej małe mieszkanko na przedmieściu wydało się duszne i zatęchłe. Rozejrzała się po pomalowanym na ciepły, ceglany kolor saloniku i niewielkiej kuchence. Lubiła to miejsce, chociaż całość pewno zmieściłaby się we foyer rezydencji Delilah Dalton. Gdy tylko uruchomiła komputer, przesłała Blake'owi obiecane dokumenty. Potem zabrała się za

przeoglądanie mejli, które nadeszły podczas jej nieobecności. Teraz musiała od nowa poukładać sobie życie.

Dwa następne tygodnie rozciągały się w nieskończoność. Szkoła miała się zacząć dopiero pod koniec miesiąca. W dodatku, skoro wyjeżdżając nie mogła określić daty swojego powrotu, jej szef był zmuszony przyjąć kogoś na jej miejsce. I teraz aż do Bożego Narodzenia miała pracować na zastępstwa. Co gorsza, musiała jak najbardziej ograniczyć wydatki, by zupełnie nie wydrenować i tak już mocno naruszonego rachunku bankowego. Ale najgorsza ze wszystkiego była dręcząca tęsknota za Molly. Brakowało jej i dziecka, i jego ojca, a także reszty Daltonów. Jak każdy, kto ich poznawał, dała się zauroczyć silnej osobowości Delilah i zuchwałemu wdziękowi Aleksa. Jednak dopiero teraz, kiedy spojrzała na rodzinę z dystansu, dostrzegła, że spajającym ją ogniwem jest Blake. To on pomagał matce w działalności charytatywnej i kierował Dalton International, podczas gdy Alex podróżował po świecie, kontaktując się z dostawcami i klientami. Grace tęskniła za widokiem jego wysokiej sylwetki przy stole i za jego śmiechem, kiedy łaskotał Molly po brzuszku.

Na szczęście podczas tych niekończących się letnich dni nie miała żadnych wiadomości o Jacku Petriem. Przekonana, że zdołała zatrzeć ślady, znów zaczęła swobodniej oddychać. To złudne poczucie bezpieczeństwa trwało, dopóki któregoś deszczowego popołudnia nie zadzwonił dzwonek do drzwi.

Spojrzenie w wizjer przyprawiło ją o szok. Sztywnymi pacami pospiesznie odsunęła zasuwkę i z rozmachem otworzyła drzwi.

- Blake!

Musiał się cofnąć, żeby uniknąć uderzenia. Grace objęła spojrzeniem eleganckie ciemne spodnie, białą rozpiętą przy szyi koszulę z podwiniętymi rękawami i włosy, teraz ciemnozłote od deszczu.

- Czy...? - Serce biło jej jak szalone, głos drżał. - Czy z Molly wszystko porządku?

- Nie.

- Och! - Przez głowę przemknęły jej dziesiątki przerażających scenariuszy. - Co się stało?

- Tęskni za tobą.

- Co? - Patrzyła na niego, zaskoczona.

- Tęskni za tobą. Marudzi, odkąd wyjechałaś. Mama mówi, że ząbkuje.

Przerażające wyobrażenia zblakły. Molly nie była ranna ani nie została porwana. Osłabła z ulgi, Grace oparła się o framugę.

- Przyjechałeś do San Antonio, żeby mi to powiedzieć? - spytała z niedowierzaniem. - Że Molly ząbkuje?

- Tak. Poza tym powiedziała pierwsze słowo. Przegapiła oba wydarzenia.

Blake zerknął do przytulnego saloniku.

- Mogę wejść?

- Co? Och, tak. Oczywiście.

Odsunęła się, aż nazbyt świadoma swoich bosych stóp i starego T - shirtu opadającego na obcięte, postrzępione dzinsy.

W domowym zaciszu taki strój był wygodny, ale nigdy nie włożyłaby go u Daltonów.

Badawczy wzrok Blake'a okropnie ją rozpraszał.

- Co powiedziała Molly?

- Chyba po prostu gaworzyła - odparł z uśmiechem. - Mama twierdzi, że „Gace”, ale czy ja wiem?

Grace powtórzyła to sobie w myśli i wzruszenie ścisnęło ją za gardło.

- Gace? Powiedziała Gace?

- Nawet kilka razy.

- Och... - Tak bardzo żałowała, że przegapiła ten moment.

- Chcielibyśmy, żebyś do nas wróciła. Zaskoczona, podniosła głowę, a on obserwował ją w napięciu.

- My? To znaczy, kto?

- My wszyscy. Mama, ja, Julie i Alex.

- Już wrócili?

- Wczoraj.

- A ty? Chcesz, żebym znów została nianią Molly?

- Nie. Chciałbym, żebyś została moją żoną.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Rozumiał oczywiście kompletne zaskoczenie Grace. Przez cały długi lot do San Antonio powtarzał sobie, że to niezdrowe, proponować małżeństwo kobiecie, którą ledwo znał i która w dodatku nie potrafiła mu zaufać.

Zapewne podobnie niezdrowe było tak bardzo za nią tęsknić. Przecież podstępem wkradła się w łaski jego matki, a potem okłamała ich wszystkich. A jednak pozostawiła po sobie pustkę, narastającą z każdą dzielącą ich godziną.

O ile pojawienie się Molly przewróciło jego spokojne, uporządkowane życie do góry nogami, o tyle pojawienie się Grace dopełniło miary zniszczenia. Dlatego teraz widok zmieszania i niepewności na jej twarzy sprawił mu nieklamana satysfakcję.

- Oszalałeś. Nie mogę za ciebie wyjść.

- Dlaczego?

- Bo... bo... - zająknęła się i umilkła.

Miał nadzieję, że może w końcu powie mu prawdę, a kiedy tak się nie stało, przełknął gorzką pigułkę rozczarowania.

- Usiądźmy - zaproponował z udawanym spokojem, dalekim od jego prawdziwych uczuć. - Porozmawiajmy.

- Porozmawiajmy? - Parsknęła krótkim, histerycznym śmiechem, ale gestem zaprosiła go do saloniku.

Usiedli po przeciwnych stronach stolika do kawy, on na sofie, ona na krześle. Obserwował, jak jej zaskoczenie szybko przeradza się w irytację, jak w oczach zapalają się złe błyski, a ramiona sztywnieją. Musiał się powstrzymać, żeby nie pożerać wzrokiem fragmentu kremowej skóry widocznej spod obrąbka koszulki i zgrabnych nóg.

Powinien się raczej skupić na tym, po co tu przyjechał. Stawić czoło temu wyzwaniu jak wszystkim innym do tej pory. Chłodno i logicznie.

- Zastanawialiśmy się nad tym, odkąd wyjechałaś. Tak świetnie zajmowałaś się małą. I Molly, i moja mama nie radzą sobie bez ciebie.

Tak jak i on zresztą. Ku swojemu najwyższemu rozdrażnieniu, pomimo jej oczywistych przewin nie był w stanie o niej zapomnieć. Mało tego, wciąż ją usprawiedliwiał i nie tracił nadziei, że kiedyś się przed nim otworzy.

- No i jesteś najbliższą krewną Molly ze strony matki - dodał jeszcze.

Przynajmniej tak wynikało z jego dotychczasowej wiedzy. Wcale jednak nie zamierzał rezygnować z poznania całej prawdy.

- No, owszem - potwierdziła niechętnie. - Anne była jedynaczką, a jej rodzice nie żyją.

Blake czekał, pełen nadziei na kolejny strzęp informacji o matce swojego dziecka. Z żalem uświadomił sobie, że jej twarz szybko zaciera mu się w pamięci. Byli razem tak krótko; w ciągu tych kilku nerwowych spotkań poza miejscem pracy niełatwo było stworzyć prawdziwą więź.

Spróbował się skupić i przywołać z zakamarów pamięci jej obraz. Trochę niższa niż Grace, miała oczy ciemniejsze, o cieplej barwie karmelu. Niestety, reszta była już tylko mglistym wspomnieniem.

Rozdarty pomiędzy poczuciem winy a żalem, wyciągnął następny argument.

- Domyślam się, że masz problemy finansowe. Aż podskoczyła na krześle.

- Skąd wiesz? Czyżby Jamison sprawdził moje konto?

- Tak. - Nie sprawiał wrażenia zawstydzonego. - Przypuszczam, że twoje oszczędności poszły na pomoc Anne i Molly, więc teraz ja powinienem pomóc tobie.

- I to ma wystarczyć, żeby się ze mną ożenić? - rzuciła kąśliwie.

- To tylko jeden powód. - Zawahał się, świadomy, że wkracza na zdradliwe terytorium. - A są jeszcze inne. Coś przestraszyło Anne na tyle, że postanowiła się ukrywać. To coś musiało zagrażać także i tobie, bo w przeciwnym razie nie wkładałabyś tyle wysiłku w to, żeby chronić ją.

Chyba trafił w sedno. Gdyby tak nie było, nie unikałaby tak jego wzroku. Żałował, że nie mógł ochronić Anne przed wiszącym nad nią zagrożeniem, i tym bardziej był zdeterminowany zapewnić taką ochronę Grace. Zwalczył gorące pragnienie wytrąśnięcia z niej prawdy za wszelką cenę i zamiast tego zaofiarował dostępne sobie możliwości.

- Zaopiekuję się tobą - obiecał, nie odrywając od niej wzroku. - Tobą i Molly.

Widział w jej oczach, że ma ochotę ustąpić. Ale satysfakcja trwała tylko do chwili, kiedy znów potrząsnęła głową.

- Naprawdę doceniam twoją propozycję. Nawet nie wiesz, jak bardzo. Ale potrafię o siebie zadbać.

Do tej chwili chyba sam nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo mu zależy, żeby się zgodziła. Jej sprzeciw sprawił, że wyciągnął kartę atutową.

- W obecnym stanie nie będziesz mogła udowodnić swojego pokrewieństwa z Molly. To ci może utrudnić kontakty z nią.

- Chcesz powiedzieć, że jeżeli za ciebie nie wyjdę, nie pozwolisz mi się z nią widywać? - spytała sztywno.

- Nie. Ale formalnie nie masz żadnych praw decydowania o tym, co jej dotyczy. Moja mama jest coraz starsza, a gdyby coś się stało mnie albo Aleksowi... - Wzruszył ramionami i czekał, aż rozważy jego słowa.

Wściekłość Grace narastała lawinowo. Nie mogła w to uwierzyć. Złapał ją w jej własną sieć kłamstw i półprawd. Jeżeli chciała w przyszłości widywać Molly - a to nie ulegało



najmniejszej wątpliwości - musiała dostosować się do narzuconych przez niego reguł.

Ale małżeństwo? Miała zrobić tak poważny krok tylko dla dobra dziecka? Taka perspektywa sprawiła, że nagle zalała ją fala wątpliwości.

- A co z miłością, seksem i wszystkim innym, co dotyczy małżeństwa? Rezygnujesz z tego?

Wstał z sofy, ona zerwała się z krzesła i stanęli naprzeciw siebie.

- A ty? - spytał.

- Oczywiście, że nie!

Po raz pierwszy zobaczyła iskierki rozbawienia w jego oczach.

- No to, nie ma problemu. Nie wątpię, że seks z tobą będzie fantastyczny, a nad miłością możemy popracować.

Do diabła! Kiedy stał tak blisko, zupełnie nie mogła się skupić. Serce waliło jej jak oszalałe i trudem łapała oddech. Zgoda na jego szokującą propozycję musiała być związana z niedotlenieniem mózgu.

- No dobrze, wygrałeś. Chcę brać udział w życiu Molly. Wyjdę za ciebie.

Sądziła, że jej słowa wywołają pozytywną reakcję, tymczasem Blake ściągnął brwi i wyglądał, jakby żałował swojej propozycji. Nieważne, pomyślała. Oboje zabrnęli zbyt daleko, by się cofnąć. Ale jedno musiała sobie zagwarantować.

- Zgadzam się, ale pod jednym warunkiem. - Mianowicie?

- Załatwimy to dyskretnie. Bez formalnych ogłoszeń, wielkiej ceremonii i zdjęć w kronikach towarzyskich.

Przemierzała niespokojnie pokój, rozmyślając intensywnie. Była przekonana, że zdołała zatrzeć swoje ślady w Oklahoma City, wciąż jednak bezpieczniej było nie ryzykować.

- Powiemy, że spotkaliśmy się kilka miesięcy temu. Polubiliśmy się, ale potrzebowaliśmy czasu, żeby zyskać pewność. Decyzję podjęliśmy dzisiaj, kiedy przyleciałeś się ze mną zobaczyć. Znaleźliśmy sędziego pokoju i wzięliśmy ślub. Koniec historii.

Odwróciła się i czekała na jego odpowiedź.

- To jak? Umowa stoi? - spytała w końcu, usiłując się nie przejmować jego kamiennym milczeniem.

Wyciągnęła rękę, żeby przypieczętować ich umowę i dopiero wtedy w pełni uświadomiła sobie, co to oznacza. Jeżeli nawet koszmarne doświadczenie małżeńskie Anne nie zniszczyło dziewczęcych fantazji Grace, ta na zimno wynegocjowana umowa biznesowa dokona tego z pewnością.

Ale Blake nie ujął wyciągniętej przez nią ręki. Ku jej zaskoczeniu objął ją w pasie i przyciągnął do siebie.

- Skoro mamy udawać zakochanych przed kamerami, lepiej zacznijmy trenować już teraz.

- Nie! Żadnych kamer! Pamiętasz? Żadnych sensacji... Mmm - wymamrotała, kiedy nakrył jej wargi swoimi.

Pocałunek był mniej delikatny, niż się spodziewała, ale z pewnością jej nie rozczarował. Była w nim zapłata za ukrywane przez nią sekrety i szczodra obietnica seksu. Najeżyła się, gotowa do obrony, ale to on puścił ją pierwszy.

Opuścił ramiona i cofnął się o krok. Nie wyglądał już na tak niewzruszonego, ale Grace nie była wcale pewna, czy podoba jej się wyraz niechęci do samego siebie, jaki pojawił się na jego twarzy.

- Bardzo cię przepraszam.

- Powinieneś - burknęła. - Tego w naszej umowie nie było.

- Masz rację. Jeszcze raz przepraszam.

Z pewnością. Jednak z jakiegoś perwersyjnego powodu jego przeprosiny zirytowały ją bardziej niż sam pocałunek.

- Może powinniśmy ustalić dodatkowe warunki? - spytała kwaśno. - Na przykład, że kontakty fizyczne powinny być uzgodnione przez obie strony?

Zarumienił się lekko.

- Poprawka przyjęta. Oczywiście, jeżeli podtrzymujesz swoją zgodę.

- A ty?

- Podtrzymuję.

- W takim razie ja też. Znów zerknął na jej gołe nogi.

- Lepiej się przebierz.

- Słucham?

- Zgodnie z twoim scenariuszem przyleciałem cię zobaczyć i zdecydowaliśmy, że chcemy być razem. Znaleźliśmy sędziego pokoju. Koniec historii.

Z niedowierzaniem spojrzała w okno. Wciąż lało jak z cebra, a w oddali dał się słyszeć grzmot.

- Chcesz wziąć ślub dzisiaj?

- A czemu nie?

- A co z badaniami krwi? I z obowiązkowym siedemdziesięciodwugodzinnym okresem oczekiwania?

- W stanie Teksas nie są wymagane. Sprawdziłem. A okres oczekiwania można uchylić, jeżeli znasz odpowiednią osobę.

Powinna była przewidzieć, że zadba o każdy szczegół.

- Załatwimy wszystko w sądzie hrabstwa Bexar. Jeden z dawnych kumpli mojego ojca jest sędzią okręgowym. Zadzwoń i spytam, czy jest dziś uchwytny. - Wyciągnął komórkę. - Spakuj to, co chcesz ze sobą zabrać, a firma przewozowa zajmie się resztą.

Niecałe trzy godziny później byli w drodze do sądu. Blake prowadził firmowego lincolna, Grace wpatrywała się w zalewaną deszczem przednią szybę i ogarniało ją coraz silniejsze poczucie nierealności.

Jak większość młodych dziewcząt, obie z Anne spędzały sporo czasu na wcielaniu się w rolę panny młodej i wyobrażały sobie różne scenariusze dnia własnego ślubu. Grace największym sentymentem darzyła uroczystość w kościele, pośród zapachu kwiatów i świec, z oblubienicą ubraną w biel i tłumem przyjaciół w kościelnych ławkach.

Ale podobała jej się też inna, skromniejsza wersja. Tylko ona i jej kuzynka jako drużna, przystojny narzeczony i pastor w krytej gontem altanie, a wokoło uśmiechnięta rodzina na białych plastikowych krzeselkach. Chwilami fantazjowała nawet, że do ołtarza prowadzi ją Elvis w jednej ze ślubnych kapliczek w Vegas. Nigdy natomiast nie wyobrażała sobie tego, co właśnie ją czekało.

Dokładniej uświadomiła sobie wszystko, kiedy szli przez mokry od deszczu plac do sądu hrabstwa Bexar. Budynek był wpisany do narodowego rejestru budowli historycznych, ale przy tak paskudnej pogodzie wyglądał szaro i przygnębiająco.

Recepcjonistka sprawiała wrażenie śmiertelnie znudzonej i ziewała szeroko, kiedy wypełniali formularze. Pięć minut później stanęli przed biurem sędziego Victora Honeywella.

Radośnie uśmiechnięta rozłożysta matrona pospieszyła złożyć im gratulacje.

- Nie pamiętam, kiedy ostatnio mieliśmy tak spontaniczny ślub. Dzisiejsze pary potrzebują przynajmniej roku, by zdecydować o fasonie sukni ślubnej.

Inaczej niż Grace, która po prostu zamieniła krótkie dzinsowe spodenki na białą lnianą sukienkę, kupioną kilka tygodni wcześniej na wyprzedaży.

Z kolei Blake był przygotowany na każdą okazję, ze ślubem włącznie. Miał teraz na sobie ciemną wełnianą marynarkę, a jedwabny, włoski krawat zapewne kosztował więcej, niż Grace zarabiała w ciągu tygodnia.

Urzędniczka przyjrzała mu się z widoczną aprobatą, a potem podała Grace bukiet zawiniętych w celofan białych róż, obramowanych srebrzystą koronką, z łądygami związanymi szeroką niebieską wstążką.

- To dla ciebie. - Ta wstążka to pasek od mojego płaszcza przeciwdeszczowego - powiedziała z błyszczącymi wzruszeniem oczami. - Wiesz, coś pożyczonego i coś niebieskiego.

Wzruszenie ścisnęło Grace za gardło. Odwinęła celofan i musnęła palcami płatki.

- Dziękuję.

- Bardzo proszę. A to dla ciebie. - Wprawnym ruchem przypięła białą różyczkę do klapy marynarki Blake'a. - Gotowe. Zabieram was do sędziego Honeywella.

Poprowadziła ich poprzez szereg wykładanych ciemną boazerią pomieszczeń z purpurowymi, atlasowymi kotarami. W ostatnim biurko wielkości boiska zdobiły flagi Stanów Zjednoczonych i Teksasu.

- Wysoki Sądzie, to pani Templeton i pan Dalton. Mężczyzna usadowiony wygodnie na czymś, co

należałoby nazwać skórzanym tronem, zerwał się z miejsca. Jego czarna toga zafalowała gwałtownie, odsłaniając parę autentycznych kowbojskich butów. Był wysoki i miał bujny zarost. Kiedy pochylił się, by ich przywitać, Blake cudem tylko uniknął poślaskotania bujnym wąsem.

- Po diabła! To ty jesteś chłopakiem Big Jake'a Daltona!

- Jednym z dwóch - odparł Blake z uśmiechem.

- Opowiadał ci może, jak we dwóch rozwaliliśmy knajpę w Nogales?

- Nie, nie opowiadał.

- To dobrze. Niektórych historii lepiej nie powtarzać. - Honeywell zwrócił zezujące spojrzenie na Grace. - Przestrzegalbym cię przed poślubieniem syna Big Jake'a,

gdyby jego matka nie była najpiękniejszą i najinteligentniejszą w pięćdziesięciu stanach kobietą. - Zmarszczył nos ponad rozłożystymi wąsami. - A skoro mowa o Delilah, czy będzie nam dziś towarzyszyć?

- Nie, ale będzie tu mój brat.

Grace popatrzyła na niego ze zdumieniem, a w tej chwili na schodach rozległy się kroki i w drzwiach stanęła kolejna para.

Wysoki, jasnowłosy mężczyzna stanowił lustrzane odbicie Blake'a, a widok miedzianowłosej kobiety wyrwał z piersi Grace okrzyk radości.

- Julie!

Instynktownie ruszyła ku przyjaciółce, ale poczucie winy kazało jej się zatrzymać. Nie okłamała jej wprawdzie, ale i nie powiedziała prawdy. Alex i Julie mieli pełne prawo podzielać odczucia Blake'a. Na szczęście w brązowo - zielonych oczach Julie nie dostrzegła wyrzutu.

- Grace, ty głupia! - Julie przepchnęła się obok Blake'a i zamknęła Grace w serdecznym uścisku. - Nie musiałaś przechodzić przez to wszystko sama. Mogłaś mi powiedzieć, a na pewno dotrzymałabym sekretu.

- Grace przełknęła szloch wzruszenia.

- Nie mogłam powiedzieć, bo to nie mój sekret. Zerknęła na brata Blake'a. Chyba nie był nastawiony

równie wielkodusznie jak jego żona, ale nie mogła go za to winić. Obserwowała go przy Molly przez tych kilka miesięcy i wiedziała, że kocha małą tak samo jak jego brat. Przejście od roli ojca do wujka musiało go zranić.

- Przykro mi, Alex. Naprawdę nie wiedziałam, który z was jest ojcem Molly.

Odezwał się dopiero po chwili, ale, choć się tego obawiała, jego słowa nie zawierały pretensji ani oskarżenia.

- Mój brat jest dobrym człowiekiem, ale kiedy wbije sobie coś do głowy... Uparł się na to małżeństwo, ale czy ty naprawdę tego chcesz?

Mocniej ścisnęła łodygi róż i odwróciła się do narzeczonego. Stał obok niej, pozornie rozluźniony, ale ani na moment nie spuszczał z niej wzroku.

- Tak - odpowiedziała po chwili niemal niezauważalnego zawahania. - Ja też tego chcę.

Czy ten krótki błysk, który dostrzegła na jego twarzy, oznaczał satysfakcję, ulgę czy panikę? Wciąż jeszcze tego nie rozstrzygnęła, kiedy sędzia Honeywell zarządził rozpoczęcie ceremonii.

Blake wyciągnął rękę i z bijącym sercem podała mu swoją. Kiedy stanęli przed sędzią, nie przestawała sobie powtarzać, że robi to dla Molly.

W dużej mierze.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

To się działo naprawdę. Grace miała ochotę się uszczyplić, kiedy Blake wsunął jej na palec zdobioną brylantami obrączkę. Oszołomiona, słuchała słów powtarzanej przez narzeczonego przysięgi.

- Przyjmij tę obrączkę... Przysięgam.

Brylanty migotały w świetle lamp. Nie potrafiła odgadnąć, ile miały karatów. Ona mogła mu się tylko odwzajemnić prostą złotą obrączką.

- W imieniu władz Stanu Teksas, który reprezentuję, ogłaszam was mężem i żoną - obwieścił sędzia Honeywell. Odczekał chwilę, zanim rzucił rubasznie: - No dalej, Dalton. Pocałuj żonę.

Już po raz drugi tego popołudnia Blake objął ją w talii, a ona zastygła w oczekiwaniu. Tym razem był bardzo delikatny. Zapragnęła wtulić się w niego, ale nie wolno jej było zapominać, że to małżeństwo jest przede wszystkim umową zawartą ze względu na Molly.

Przyjęła gratulacje sędziego Honeywella, serdeczny uścisk Julie i całusa w policzek od Aleksa, który wyciągnął z kieszeni marynarki kopertę.

- Mama bardzo chciała być tu z nami, ale nie mogła ze względu na Molly. Dlatego napisała do ciebie kilka słów.

Grace przyjęła kopertę z pewną obawą. Wewnątrz znajdowała się złożona kartka papieru listowego z monogramem Delilah. Zanim ją rozłożyła, spojrzała pytająco na Blake'a. Wzruszył ramionami, najwyraźniej zaskoczony, że list jest skierowany do niej. Grace pospiesznie przebiegła wzrokiem napisany odręcznie tekst.

„Nie jestem zachwycona sposobem, w jaki postanowiliście to przeprowadzić. Pomówimy o tym, kiedy wrócicie z Francji. Firmowy odrzutowiec zabierze was do Marsylii. Po



przyjeździe skontaktujcie się z madame LeBlanc. Julie, Alex i ja zajmiemy się Molly".

Bez słowa podała list Blake'owi.

- Wiedziałaś o tym? - zwrócił się do brata.

- Domyśliłem się, kiedy Delilah kazała mi sprowadzić firmowy odrzutowiec do San Antonio. Dokąd lećcie?

- Na południe Francji.

- Nas wysłała do Toskanii. Całe szczęście, że obaj jesteśmy pilotami i wiemy, jak uniknąć złego samopoczucia po zmianie stref czasowych. - Mrugnął do żony, a potem zwrócił się do Grace.

- Oczywiście masz paszport?

- Tak, ale...

Ale co? Przyjęcie propozycji Blake'a oznaczało, że jej świat stanie na głowie i sama się na to zgodziła. Nie miała podstaw, by protestować.

- Ale Blake na pewno nie zabrał swojego - dokończyła bezradnie.

- Istotnie - potwierdziła Julie, grzebiąc w torebce. - Ja go przywiozłam. Dopiero teraz sobie o tym przypomniałam. - Podała mu dokument.

Blake wzruszył ramionami.

- Dobrze, że chociaż ty jesteś spakowana - powiedział do Grace. - Ja kupię sobie co potrzeba, już na miejscu.

Pożegnali się na lotnisku. Potem Julie i Alex wsiedli na pokład mniejszego odrzutowca, którym Blake przyleciał do San Antonio, a młoda para ruszyła w stronę większego, dwusilnikowego gulfstreama V.

Kapitan wyszedł im na powitanie i złożył najserdeczniejsze życzenia.

- Gratulacje, pani Dalton.

- Ja... bardzo dziękuję.

Blake wszedł za nim do kabiny pilotów.

- Wiem, że właśnie wróciłeś z Toskanii, Joe. Przykro mi, że będziesz tak krążyć.

- Żaden problem. Alex siedział przy sterach przez większość drogi powrotnej, więc załoga jest wypoczęta. Zatankujemy do pełna w Nowym Jorku i po siedmiu godzinach będziesz się smażył w prowansalskim słońcu.

Blake szybko przeliczył. Trzy godziny do Nowego Jorku, siedem na lot nad Atlantykiem. Ponad godzina na kontakt z madame LeBlanc i dojazd na miejsce. Około ośmiu godzin różnicy czasu.

On był przyzwyczajony do lotów transatlantyckich, ale przypuszczał, że Grace będzie kompletnie padnięta. Cóż, następne, spokojne dni będzie mogła dojść do siebie i przywyknąć do stanu małżeńskiego.

Sam też tego potrzebował. Przed przyjazdem do San Antonio wypisał sobie wszystkie argumenty za i przeciw małżeństwu, ale kiedy zobaczył Grace w tych obciętych dżinsach, wszystko wyleciało mu z głowy.

Uśmiechnięty filipiński steward w białej marynarce powitał ich w wejściu.

- Witam na pokładzie, panie Blake. Nie spodziewałem się, że obaj z panem Alekssem będziecie spędzali miesiąc miodowy niemal jednocześnie.

- Ja też się tego nie spodziewałem, Eualdo. Poznaj, proszę, moją żonę, Grace.

Eualdo z godnością pochylił się nad dłonią Grace.

- To wielki zaszczyt móc panią poznać.

- Bardzo dziękuję.

- Proszę za mną. Zaprowadzę państwa na miejsca. Blake spędził tak wiele godzin na pokładzie gulfstreama, że już od dawna traktował podróże nim bardziej jako konieczność niż jako luksus. Westchnienie Grace, kiedy przekroczyli próg

kabiny, przypomniało mu, że nie wszyscy postrzegali to w ten sposób.

Każdy z foteli z wysokim oparciem miał przed sobą stanowisko do pracy, ponadto znajdowała się tam kuchenka i miejsce do spania. Na czas lotów turystycznych stanowiska do pracy zestawiano, tworząc elegancki salonik.

- Och! - Grace szeroko otwartymi oczami patrzyła na panele z drzewa tekowego i jasnoszarą skórę. - Mam nadzieję, że to nie Dalton International płaci za to wszystko.

- Poślubiłaś dyrektora finansowego DI - odparł Blake sucho - więc chyba nie powinnaś wątpić w moją uczciwość.

Zrozumiała aluzję i zarumieniła się lekko. Rumieniec pogłębił się, kiedy przeszli do części sypialnej. Dwa łóżka zaścielono satynowymi prześcieradłami, puchowymi poduchami i kołdrami z wyhaftowanym złotą nicią logo firmy. Blake nie wątpił, że Julie i Alex spędzili większą część lotu właśnie tutaj.

On sam i jego żona nie skorzystają z tych wspaniałych możliwości. Blake doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Tym niemniej, kuszący obraz nagiej Grace rozciągniętej w świeżej pościeli gwałtownie zaatakował jego umysł.

- Przygotowałem butelkę schłodzonego szampana, panie Blake.

Kuszące wyobrażenie zastąpił widok uśmiechniętej twarzy Eualdo.

- Mam państwu nalać od razu, czy dopiero po starcie?

Rzut oka na spiętą Grace rozwiał wątpliwości. Potrzebowała drinka lub dwóch, żeby się rozluźnić. Zresztą i on także. Czekał ich długi lot.

Lot trwał nawet dłużej, niż oczekiwali. Kiedy wylądowali na obrzeżach Nowego Jorku, by uzupełnić paliwo, gęsta mgła zasnuła Atlantyk, opóźniając start o następne dwie godziny. Z

tego samego powodu musieli obrać trasę bardziej na północ, niż początkowo planowali.

Zanim wzniesli się na tyle wysoko, by Eualdo mógł podać kolację, Grace zdołała się rozluźnić, a glazurowany miodem gołąb z dzikim ryżem i butelka dobrze schłodzonego rieslinga przywróciły jej pełnię sił. Kiedy jednak na zewnątrz zrobiło się całkiem ciemno, pojawiło się znużenie. Kiedy głowa po raz pierwszy opadła jej na piersi, poderwała ją gwałtownie. Potem poddała się i przestała udawać.

- Przepraszam. - Potarła dłonią zmęczone oczy. - Nie powinnam była pić wina po szampanie. Kręci mi się w głowie.

- To po części wina wysokości. - Spokojna odpowiedź nie zdradzała jego myśli.

Nigdy dotąd nie uwiódł wstawionej kobiety, ale pomysł był ogromnie kuszący.

- To był długi dzień. Pewno chciałabyś się położyć. Zerknęła na tył kabiny.

- A ty, nie jesteś zmęczony?

- Trochę - uśmiechnął się z przymusem. - Eualdo przywykł, że zazwyczaj spędzam noc na pracy.

- Nawet noc poślubną?

Nie miał problemu z rozszyfrowaniem podtekstu pytania.

- Jest z nami od ponad dziesięciu lat. Nie musisz się kłopotać tym, co sobie pomyśli. Ani on, ani ktokolwiek inny.

Spuściła wzrok i bawiła się obrączką.

- Połóż się i odpocznij.

Kiwnęła głową i odpięła pas bezpieczeństwa. Blake obserwował, jak wstaje i odchodzi. Kiedy zniknęła w części sypialnej, wysączył resztę rieslinga i odchylił oparcie fotela.

Jakiś kwadrans później Grace leżała w świeżej pościeli. Mogło być znacznie gorzej, tymczasem właśnie przemierzała ocean na pokładzie prywatnego odrzutowca. W zaskakująco przestronnej łazience znalazła absolutnie wszystko, czego

potrzebowała. Bawełniana pościel była tak delikatna i miękka, że działała na skórę jak balsam. W zaokrąglonych okienkach migotały gwiazdy i właściwie brakowało jej tylko jednego: świeżo poślubionego męża.

Gdyby tylko zdołała zwalczyć tę dziwną ochotę powrotu do kabiny i renegotjowania umowy... Blake nie tylko nie wykluczał seksu, ale powiedział coś jeszcze, co obudziło w niej oczekiwanie. I teraz jej ciało tęskniło za spełnieniem tej obietnicy.

Zakręciła się niespokojnie. Cóż za idiotyczna sytuacja. Jej mąż siedział przecież tuż obok i gdyby tylko dała mu jakikolwiek znak, z pewnością by do niej przyszedł.

W tym momencie wystarczyłby jej sam seks. Przynajmniej na razie nie tęskniła do małych sekrecików, porozumiewawczych uśmiezków i głupawych żarcików, które dzieliły bliskie sobie pary.

Dlaczego więc nie mogła się zdobyć na to, by wstać, wejść do kabiny i przymilić się do męża? Odsunęła kołdrę, przetoczyła się na biodro i... nie wstała. Problem polegał na tym, że właśnie tęskniła do małych sekrecików, porozumiewawczych uśmiezków i głupawych żarcików dzielonych z ukochanym. Potrzebowała czegoś więcej niż tylko seksu.

Znów wyładowała frustrację na poduszce. Czuła się jak relikwiarz przeszłości i chodzący anachronizm. Cóż, kiedy taka właśnie była.

Nie pamiętała, jak i kiedy zasnęła. Obudziło ją pukanie do drzwi i potoki światła słonecznego, wlewające się przez okna. Jej zegarek wskazywał środek nocy, tymczasem pukanie rozległo się ponownie.

- Tu Eualdo, pani Grace. Za półtorej godziny lądujemy.

- Okej, dziękuję.

- Jak będzie pani gotowa, to podam śniadanie. Niedługo potem weszła do kabiny, wykąpana i ubrana w białe spodnie i zwiewny top w kwiecisty wzór. Stroju dopełniała gruba biała bransoletka. Dziś wystąpi po raz pierwszy w roli żony.

Na jej widok Blake odpiął pas i wstał. Nie sprawiał wrażenia człowieka, który nie przespał nocy. Dopiero kiedy podeszła bliżej, zauważyła złocisty zarost na brodzie i policzkach.

- Dzień dobry.

- Dzień dobry - odparł z uśmiechem. - Wyspałaś się?

- Tak. - Czuła się okropnie skrepowana. - A ty?

- Wezmę prysznic i zaraz do ciebie dołączę. Eualdo zaparzył już kawę.

Minął ją, a potem przystanął i niezdarnie musnął palcami jej policzek.

- Poukładamy to, Grace. Zobaczysz. Dajmy sobie tylko trochę czasu.

Czas, myślała, kiedy gulfstream cicho schodził do lądowania. Widok bezkresnego błękitu morza podziałał na nią kojąco.

Na zewnątrz powitało ich balsamicznie ciepłe powietrze. Żadne wcześniejsze lektury katalogów podróży nie przygotowałyby jej na widok prowansalskiego bezchmurnego nieba i jaskrawego blasku słońca, przed którym musiała osłonić oczy. Dobrze chociaż, że morską bryza choć trochę ułatwiała oddychanie.

Przed terminalem czekał kierowca w czerwonym sportowym kabriolecie. Kiedy wrzucili bagaże na tył, grzecznie zapytał o coś po francusku. Blake odpowiedział kilkoma słowami i szerokim uśmiechem.

Grace popatrzyła na niego ciekawie.

- Mówisz po francusku?

- Trochę.

Usiadł za kierownicą i wyciągnął z kieszeni koszuli okulary przeciwsłoneczne.

- Dokąd jedziemy?

- Saint - Remy en Provence. To małe miasteczko około godziny jazdy na północ - uśmiechnął się kącikami warg. - Ogólnokrajowy strajk komunikacyjny uwięził tu mamę pięć lat temu. W tym czasie zdążyła kupić rozpadającą się willę i przeobrazić ją w wakacyjne lokum pracowników DI.

Grace nie mogła się nie uśmiechnąć. Oto cała jej szefowa, nie, już nie szefowa, tylko teściowa. Delilah Dalton miała więcej energii niż szóstka innych osób razem wziętych.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Trochę ponad godzinę później Blake skręcił z autostrady w dwupasmową drogę ocienioną figowcami. Ich stykające się ponad drogą gałęzie tworzyły ciągnący się kilometrami, zielony tunel. Za drzewami migały skąpane w słońcu winnice i gaje oliwne. Saint - Remy zachwyciło Grace. Wzdłuż ulicy biegnącej wokół miasteczka stały osiemnastowieczne rezydencje. Przed każdą tryskała fontanna w kształcie delfina albo kamiennej boginki. - Centrum miasteczka, przeznaczone tylko dla ruchu pieszego, zajmowały sklepy, restauracje i bary na wolnym powietrzu.

Blake zauważył jej tęskne spojrzenie.

- Zatrzymamy się tu na lunch - obiecał.

- Bardzo się cieszę.

Obserwując swojego partnera na tle osiemnastowiecznych budowli, stwierdziła, że doskonale do nich pasuje. Słońce oświetlało wąską bransoletkę zegarka na nadgarstku i złociste włosy na ramionach. Ze złocistą opalenizną, w rozpiętej pod szyją, ręcznie szytej koszuli wyglądał bardzo stylowo.

- Madame LeBlanc spotka się z nami w Hotel des Elms - dodał, sprawnie lawirując pomiędzy pieszymi i innymi pojazdami. - Nazywanym też Hotelem Świętego Jakuba. Legenda głosi, że jego pierwszy właściciel wymyślił albo przynajmniej udoskonalił danie, nazwane tak na cześć Świętego Jakuba.

Zastanawiała się tylko chwilę.

- Ach! Muszle Świętego Jakuba.

- Właśnie. Będiesz miała przyjemność poznać obecnego szefa kuchni i spróbować tej niezwykłej potrawy.

Dotarli do wysokiej bramy z kutego żelaza, która otworzyła się przed nimi zapraszająco. Grace natychmiast zrozumiała, skąd się wzięła nazwa hotelu. Majestatyczne wiązy, posadzone przed ponad stu laty, tworzyły wdzięczny



łuk nad zwirowym podjazdem, zakończonym olbrzymią fontanną z wierzchowcami z brązu, wyrzucającą w powietrze hektolitry srebrzystej wody.

Budynek hotelu był majstersztykiem architektonicznym z pokrytego patyną czasu szarego kamienia. Składał się z trzypiętrowego budynku głównego i dwóch dwupiętrowych skrzydeł. Zdobioną fasadę oplatała kwitnąca purpurowo wisteria o aromacie wanilii.

Blake zatrzymał samochód, a frontowe drzwi otworzyły się, jeszcze zanim zdążył zgasić silnik. Kobieta, która się w nich pojawiła, odpowiadała wyobrażeniu Grace o kwintesencji Francuzki: smukła, czarująca, niezwykle szykowna w czarnych, jedwabnych spodniach i zwiewnej lnianej bluzce.

- Witamy w Saint - Remy, panie Blake - powiedziała po francusku.

- Zawsze miło tu wrócić - odpowiedział po angielsku.

Po obowiązkowym ucałowaniu obu policzków, przedstawił jej Grace, która wprost zwijała się z zakłopotania, kiedy madame LeBlanc serdecznie uścisnęła na przywitanie jej obie dłonie.

- Nadzwyczaj mi miło panią poznać. - Madame uśmiechnęła się szelmowsko. - Delilah długo się zastanawiała, jak skłonić swoich przystojnych synów do małżeństwa. Musiała być zachwycona, kiedy wzięli ślub w odstępie miesiąca. Jakie to romantyczne!

Blake otoczył talię Grace ramieniem. - Bardzo.

Jego swobodny komentarz dawał pożywkę fantazjom o rozkoszach miesiąca miodowego. Madame LeBlanc westchnęła z aprobatą i wręczyła mu klucze.

- Zgodnie z pana poleceniem, personel pojawi się dopiero jutro, ale Auguste przyrządził kilka dań, które wystarczy odgrzać. Pokojówka przygotowała zielony apartament. Nikt nie będzie państwu przeszkadzał.

- Merci.

Z zewnątrz willa wyglądała na osiemnastowieczną, ale wewnątrz było urządzone nowocześnie. Grace zauważyła kamery i panel alarmu, a także bezszelestną windę.

Kiedy tak rozglądała się wokoło, Blake wniósł do środka ich rzeczy.

- Chcesz, żebym cię oprowadził czy wolisz odpocząć? - zapytał.

- To pierwsze, oczywiście. Chyba że... przepraszam za mój egoizm. Ja spałam w samolocie, ale ty pewno chciałbyś się położyć.

Wyraz jego twarzy zmienił się na mgnienie, ale trwało to zbyt krótko, by zdążyła tę zmianę zinterpretować.

- Nie jestem śpiący. - Skłonił się przed nią teatralnie i podał jej ramię. - Proszę tedy, madame.

Wkrótce pogubiła się w mnogości mijanych pomieszczeń. Mały salonik, duży salon, pokój muzyczny, biblioteka, pokój do gry w karty, sala balowa wyłożona lustrami, kilka jadalni, kuchnia, łazienki. Każde stanowiło starannie przemyślaną mieszaninę antyku i nowoczesności, zręcznie złożonych w elegancką i funkcjonalną całość.

Malowane, porcelanowe umywalki przywodziły na myśl dawne czasy, a kuchnia pełna ziół i miedzianych rondli mogła zadowolić kucharzy każdej epoki.

Basen otoczony marmurowymi kolumnami i obrośnięta bugenwillą pergola były jak przywołana do życia grecka fantazja. Turkusowa woda połyskiwała kusząco. Kiedy znów weszli do domu i ruszyli na piętro, Grace zastygła w zachwycie przed malowidłem przedstawiającym purpurowe irysy w rozświetlonej słońcem wnęce.

- Och! - Nie знаła się jakoś specjalnie na sztuce, ale rozpoznała pracę Van Gogha. - Mam taki plakat u siebie w sypialni.

Blake przystanął obok niej.

- To jeden z ulubionych obrazów mamy. Podarowała oryginał Smithsonian Museum of Art., zamawiając jednocześnie tę kopię.

Stał bardzo blisko, a jego ciepły oddech na policzku bardzo ją rozpraszał i omal nie przegapiła następnych słów.

- To jeden z ponad stu pięćdziesięciu obrazów, które Van Gogh namalował podczas roku spędzonego w Saint - Remy. Jest tu ścieżka pokazująca różne motywy, które uwiecznił w swoich obrazach. Możemy się nią przejść, jeżeli chcesz.

- O, tak. Bardzo.

Możliwość zobaczenia słoneczników i gajów oliwnych oczami jednego z największych światowych malarzy zafascynowała ją. Tym bardziej że miała to przeżyć w towarzystwie Blake'a.

Niestety, nie знаła stosunku męża do sztuki impresjonistów. Nie wiedziała też, jaką muzykę lubi ani jak spędza wolny czas. Znała go stanowczo zbyt krótko. Może więc ten wymuszony miesiąc miodowy nie był wcale takim złym pomysłem? Partnerzy jakiegoś przedsięwzięcia, nawet ułożonego małżeństwa, powinni przecież jakoś ustalić reguły współpracy. Może Delilah, organizując ten wyjazd, życzyła im jak najlepiej?

Może... Tak naprawdę, trudno było odgadnąć intencje kobiety o tak makiawelicznym umyśle. Grace chwilowo wstrzymała się z osądem i skupiła uwagę na wycieczce po willi. Obejrzała jeszcze kilka w pełni wyposażonych apartamentów gościnnych, dwa dodatkowe salony, pokój do czytania, a nawet pokój gier video. Na końcu korytarza Blake otworzył bogato zdobione, podwójne drzwi.

- To jest główna sypialnia, zwana też zieloną.

W środku było co podziwiać. Nie mogła oderwać wzroku od wykładanych jedwabiem ścian, fantazyjnie upiętych zasłon

i sterty poduch z frędzlami, zaścielającej poczwórne łoże. Poduszki były uszyte z adamaszku i lśniły różnymi odcieniami zieleni w zależności od kąta padania światła słonecznego, wlewającego się przez olbrzymie francuskie okna. Łoże było mahoniowe, inkrustowane złotem, podobnie jak fotele i stoliki z marmurowymi blatami.

To wszystko było zupełnie niezwykle.

- Mógłby tu sypiać sam król Ludwik XV.

- Nie wiadomo, czy tu w ogóle bywał - odparł Blake z uśmiechem. - Ale podobno jedną z jego kochanek zabawiała tutaj ukradkiem swojego innego przyjaciela.

Grace nie umiała zdecydować, czy bardziej zadziałał na nią ten uśmiech, czy erotyczne wyobrażenie pary kochanków, ale znów prawie przegapiła dalsze słowa Blake'a.

- Co powiedziałaś?

- Że będę obok.

Podążyła za nim. Ta sypialnia nie była aż tak dekadentka jak zielona, ale też znajdowało się w niej królewskie łoże i marmurowy kominek, w którym można by upiec wołu.

Blake zerknął na zegarek.

- Według tutejszego czasu już prawie południe. Jeżeli nie jesteś zbyt zmęczona, moglibyśmy spotkać się za jakieś pół godziny na lunch.

- Bardzo chętnie.

Z przykrością patrzyła, jak masywne drzwi zamykają się za nim. W końcu westchnęła i zaczęła rozpakowywać rzeczy. Przybory toaletowe zaniósła do łazienki, rozmiarami i wyposażeniem odpowiedniej dla królowej. Albo przynajmniej królewskiej kochanki.

Może zawdzięczała to wspaniałemu słońcu, a może schłodzonemu rose, produkowanemu przez pobliską winnicę? A może po prostu staraniu Blake'a, by ton rozmowy pozostał lekki i neutralny? W każdym razie po raz pierwszy od

niepamiętnych czasów zdołała się rozluźnić i zwyczajnie cieszyć życiem.

Wciąż świeży ból po starcie kuzynki schowała głęboko w sercu. Myśli o Jacku Petriem, wspomnienia z Oklahoma City, nawet Molly, zeszyły na boczny tor. No i w konsekwencji tak radykalnego rozluźnienia zachowała się wysoce nierozsądnie.

Wszystko wydarzyło się po południu. Po lunchu wybrali się do miasteczka. Wędrowali leniwie, zatrzymując się niekiedy przed wystawami sklepów oferujących towary prowansalskie. Jedną z nich zajmowały kosze z najróżniejszymi ziołami i przyprawami. Inny najwyraźniej specjalizował się we wszelkiego rodzaju mydełkach i zapachowych olejkach. Grace, zachwycona, weszła do środka, by delektować się aromatami produktów, do wykonania których użyto jabłek, gruszek, cytryn, peonii, wanilii, miodu, migdałów oraz, oczywiście, lawendy. Różnorodność zakorkowanych flakoników olejków i płynów we wszystkich możliwych barwach była oszałamiająca.

Sprzedawczyni najwyraźniej znała się na rzeczy. Jednym spojrzeniem oceniła brylantową obrączkę na palcu Grace i ruchem magika wyciągnęła z szafy za plecami flakonik ze rżniętego kryształu.

- Powinna pani koniecznie spróbować tej mieszanki przygotowanej specjalnie dla naszego sklepu.

Wyciągnęła korek i w powietrze popłynął delikatny aromat lawendy i jeszcze czegoś, czego Grace nie potrafiła zidentyfikować.

- Olejek eteryczny z pączków, wyciskany zanim rozkwitną - wyjaśniła sprzedawczyni. - Wyjątkowo delikatny, prawda? I zmysłowy.

Pomachała korkiem w powietrzu, żeby uwolnić więcej zapachu, a Grace pochyliła się, oddychając głęboko. Cokolwiek wydarzy się w tym małżeństwie, zawsze będzie je

kojarzyć z zapachem lawendy, blaskiem słońca, lazurowym niebem i zmarszczkami w kącikach oczu Blake'a, kiedy obserwował ją zachłannie chłonącą delikatny aromat.

Nie trwało to długo. Sprzedawczyni znów zwilżyła korek i podała go mężczyźnie.

- Proszę musnąć nadgarstek żony. Aromat jest lepiej wyczuwalny na skórze.

Zrobił, jak radziła, a potem przytrzymał dłoń Grace przy twarzy, by ją powąchać.

- Racja - zamruczał. - Na ciepłej skórze zapach jest wyraźniejszy.

Przez chwilę intensywnie wpatrywali się sobie w oczy i Grace miała wrażenie, że płonie. Na szczęście sprzedawczyni zaproponowała kolejną próbę.

- Proszę musnąć za uchem. To najbardziej uwodzicielskie miejsce.

Resztki zdrowego rozsądku nakazywały Grace wycofać się natychmiast. Wino, słońce i bliskość mężczyzny sprawiały, że była bliska utraty panowania nad sobą. Właściwe to już się stało. Bo czy stałaby bez ruchu i pozwalała, by Blake odgarniał jej włosy zza ucha?

Dotyk kryształowego korka był chłodny i wilgotny, a chwilę później poczuła na skórze ciepły oddech męża. Choć ich fizyczny kontakt ograniczył się do muśnięcia dłonią, była cała rozdygotana. Gwałtownie cofnęła się o krok, a wyraz zmieszania na jej twarzy powiedział Blake'owi wyraźnie, że przekroczył granicę.

Obiecał jej, że z czasem jakoś to wszystko poukładają, ale chyba nie potrafił już czekać. Pragnął jej teraz, a nie w jakiejś nieokreślonej przyszłości.

- Proszę pana? - Głos sprzedawczyni dobiegał z bardzo daleka. - Czy zechce kupić pan żonie flakonik tego olejku?

Skinął głową i sprzedawczyni wydrukowała paragon.

- Państwo tutejsi?  
- Mieszkamy w Hotel des Elmes.  
- Ach, tak. Rzeczywiście. Był pan tu w zeszłym roku z... ze swoją uroczą matką - dokończyła po niemal niezauważalnej chwili zawahania.

Nie prostował jej omyłki. To nie miało w tej chwili znaczenia.

Garce zerknęła na etykietkę z ceną, którą sprzedawczyni zdjęła z flakonika.

- Dwieście euro? - Tak.

- To... to prawie trzysta dolarów! - Przytrzymała dłoń Blake'a który już wyciągał pieniądze. - To za dużo.

- Nie znajdzie pani piękniejszego i delikatniejszego zapachu w całej Prowansji. - Przeniosła wzrok na Blake'a, a kiedy znów odwróciła się do Grace, na jej twarzy igrał konspiracyjny uśmiezek. - Poza tym... mąż nie kupuje tego olejku tylko dla pani; zapach pani skóry sprawi przyjemność przede wszystkim jemu. Skoro więc tego pragnie... - Wymownie wzruszyła ramionami w najbardziej galijskim z gestów i Grace mogła tylko bezsilnie patrzeć, jak Blake kładzie banknoty na ladę.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Bez względu na uwodzicielski zapach, jaki roztaczała wokół siebie Grace, Blake naprawdę nie planował tego, co wydarzyło się później. Kiedy zaproponował pływanie, miał na myśli wyłącznie zacieśnianie koleżeństwa, tak miło zadziergniętego podczas lunchu.

Wszystko było dobrze, dopóki Grace nie zsunęła z ramion szlafroka kąpielowego, odsłaniając smukłą sylwetkę, tu i tam apetycznie zaokrągloną. Jednocześnie czerwony kostium więcej zakrywał niż odkrywał, ale i tak trudno było oderwać od niej wzrok.

- Jak woda? - zapytała.

Blake odzyskał mowę dopiero po dłuższej chwili.

- Chłodna na początku - odparł. - Ale jak już wejdiesz, nie tak źle.

Na próbę zanurzyła palec od nogi i błyskawicznie wyciągnęła go z powrotem.

- Chłodna? Na pewno nie chciałaś powiedzieć lodowata?

Stała na pierwszym schodku i, krzywiąc się zabawnie, powoli zaczęła schodzić niżej. Zmoczyła łydki, uda i przystanąła.

- Tchórz - rzucił ze śmiechem.

Sprowokowana tym zarzutem, zanurkowała gwałtownie. Wypląnęła obok niego: włosy jak złocisty wodospad, krople wody na rzęsach, roześmiane oczy.

I nagle z kobiety, która go okłamała i nie umiała mu zaufać, zmieniła się w radosną dziewczynę; taka musiała być dawna Grace, zanim wzięła na siebie ciężar kłopotów kuzynki. I taka mogła być nowa Grace, jaką się stanie, kiedy zrzuci z siebie ten ciężar.

- No dobrze - sapnęła, opierając się na czubkach palców. - Jestem w środku. To kiedy się zrobi „nie tak źle”?

- Popływaj - poradził - to się rozgrzejesz.



Posłuchała rady, a on odwrócił się na plecy i dotrzymywał jej kroku. Obserwował z aprobatą, jak płynęła ładnymi, długimi pociągnięciami. Bez widocznego wysiłku zrobiła dwa, potem trzy okrążenia. To miało być czwarte. Nagle zanurkowała i znalazła się pod nim. Zderzyli się i wynurzyli jako splątany kłęb rak i nóg.

- Przepraszam. - Mrugając, unosili się na wodzie, Grace przytrzymała się go w pasie.

Byli w głębszej części i czuł jak jej nogi poruszają się pomiędzy jego. Znów zapragnął jej gwałtownie, paląco i nie czuł się już na siłach analizować swoich uczuć. Musiała dostrzec to w wyrazie jego twarzy, może poczuła, jak pod jej dłońmi napinają się jego mięśnie. Podniosła głowę i pytająco popatrzyła mu w oczy.

- Zgodnie z naszą umową - sapnął - kontakt fizyczny wymaga obopólnej zgody. Jeżeli nie chcesz posunąć się dalej, lepiej powiedz to teraz.

Odpowiedziała wyzywającym spojrzeniem, a on, w odwecie za tę milczącą prowokację, nakrył jej wargi swoimi.

Pocałunek był szybki, gorący i głodny. Nawet gdyby opacznie zrozumiał jej milczenie, gdyby chciała się wycofać, już by jej nie puścił. Na szczęście nie wykonała najmniejszego gestu sprzeciwu.

Zmiana stref czasowych, brak snu i intensywny seks w końcu zmogły nawet niezwykle odpornego Blake'a. Pamiętał, że pomógł Grace wyjść z basenu i delektował się widokiem jej nagiego ciała, dopóki nie owinęła się w białe - niebieski ręcznik. Potem popłynął wyłowić ich stroje kąpielowe, a w końcu zaproponował odpoczynek na leżakach w obrośniętej winoroślą pergoli. Kiedy znów otworzył oczy, słońce dawno już zaszło, a wokół basenu migotały baśniowo białe lampki.

Usiadł, zamrugnął i podrapał się po nieogolonej brodzie. Grace wynurzyła się z cienia i usiadła na leżaku obok.

- Która godzina? - zapytał wciąż szorstkim od snu głosem.

- Nie jestem pewna. Mój wewnętrzny zegar wciąż działa według czasu teksaskiego. - Zerknęła na rozgwieżdżone niebo.

- Przypuszczam, że koło wpół do dziesiątej.

- Przepraszam, że cię tak zostawiłem.

Na widok jego widocznej skruchy uśmiechnęła się ciepło.

- Nic nie szkodzi. Ja też się zdrzemnąłam.

Co prawda nie za długo. Potem wykąpała się, umyła włosy, przebrała się w szorty khaki i T - shirt.

- Jadłaś coś?

- Czekałam na ciebie.

Wciąż był w kąpielówkach, które wyłowił z basenu. Wyschnięte, zwisały mu luźno na biodrach, kiedy wstał i wyciągnął do niej rękę.

- Chodźmy do kuchni.

Moment zawahania był tak krótki, że mógł go sobie tylko wyobrazić. Ale nie uszło jego uwagi jej skrepowanie. Milcząca i trochę sztywna usiadła na wysokim barowym stołku. Blake przeszukał lodówkę. Zgodnie z obietnicą madame LeBlanc kucharz przygotował różne pyszności. Grace wzięła zimne gazpacho z chrupiącą bagietką. Blake nalał im chłodnego chardonnay, a potem nałożył sobie porcję sałatki nicejskiej i szparagów z kozim serem odgrzanych w mikrofalówce.

Zjadł kilka kęsów i popatrzył na Grace, która tylko bawiła się jedzeniem. Domyślał się, że powodem zmiany nastroju było to, co zaszło w basenie.

W kilka minut później potwierdziła jego domysły. Zebrała się na odwagę i wzięła głęboki oddech.

- To, co się wydarzyło... Wyczuwał, że niełatwo jej o tym mówić.

- Wiem, że ustalając warunki naszej umowy, braliśmy pod uwagę seks, ale...

- Ale?

Spuściła wzrok i przez chwilę tylko kruszyła bułkę, zanim znów na niego spojrzała.

- Ale sprawy zupełnie wymknęły się spod kontroli. Oboje jesteśmy tak samo winni - dodała szybko. - Wszystko wydarzyło się tak błyskawicznie...

- Następnym razem będę działał wolniej. Solenna obietnica niemal wywołała uśmiech.

- Mam na myśli, że to stało się zbyt wcześnie. Wciąż jeszcze nie bardzo wiem, jak traktować tę naszą umowę.

- Rozumiem. - Już poważny, odłożył widelec. - Ale wyjaśnijmy sobie jedno. To nie było tak, że sprawy wymknęły się spod kontroli. Ja naprawdę cię pragnąłem.

Rumieniec zabarwił jej policzki.

- Wezmę to pod uwagę. No i muszę przyznać, że i ja pragnęłam ciebie.

- To trudny okres dla nas obojga. Musimy się jeszcze wiele o sobie nawzajem dowiedzieć.

Tak wyraźne nawiązanie do skrywanych przez nią sekretów sprawiło, że się zachnęła.

- Właśnie - oznajmiła stanowczo. - Dlatego powinniśmy unikać podobnie niezręcznych sytuacji, dopóki nie zaakceptujemy siebie nawzajem takimi, jakimi jesteśmy.

Ileż czasu potrzeba, żeby mu w końcu zaufała? Rozterka zabarwiła głos Blake'a irytacją.

- Czyli mamy wrócić do chłodnej grzeczności? Uważasz, że to takie łatwe?

- Nie - przyznała. - Ale konieczne, jeżeli z naszego związku ma wyniknąć coś pozytywnego.

Przełknął gorzki posmak anchovies i frustracji.

- W porządku. Niech będzie, jak chcesz.

Grace spędziła drugą noc swojego miesiąca miodowego tak samo jak pierwszą, czyli bezsennie, samotnie i w niezgodzie z sobą samą.

Światło księżyca wpadało przez otwarte okno, a ona wciąż od nowa przeżywała ich wieczorną rozmowę. Słusznie przyhamowała rozwój sytuacji. Nigdy wcześniej tak nie uległa popędowi, nigdy nie czuła się tak bezsilna wobec mężczyzny.

Tak, wycofanie się było słuszne. Powrót do chłodnej grzeczności, używając słów Blake'a, wydawał się jedynym słusznym rozwiązaniem. Oboje potrzebowali czasu, by odnaleźć się w tym dziwacznym związku i zrobić następny krok, jakikolwiek miałby on być.

Najwyższym wysiłkiem woli odsunęła od siebie wspomnienie gorących chwil w basenie i zapadła w niespokojny sen.

Trwała w powziętym poprzedniego dnia postanowieniu do chwili, kiedy rano zeszła na śniadanie. Personel najwyraźniej stawiał się już do pracy. W całym domu pachniało świeżo upieczonym chlebem, a u stóp schodów kręciła się pokojówka w jasnoniebieskim uniformie z miotełką z piór w ręku. Popatrzyła na Grace, nie kryjąc zaciekawienia i sympatii.

- Bonjour, madame Dalton.

- Bonjour - odparła Grace i uśmiechnęła się przepaszająco. - Przykro mi, nie mówię po francusku.

- Rozumiem. Jestem Marie, pokojówka. Bardzo mi przyjemnie panią poznać.

- Dziękuję bardzo. Mnie również miło poznać ciebie.

Zawahała się, nie bardzo chcąc przyznać, że nie wie, gdzie może przebywać jej mąż. Na szczęście Blake przekazał służbie odpowiednie informacje.

- Pan Dalton pije kawę na wschodnim tarasie i czeka na panią ze śniadaniem - poinformowała ją Marie.

- A wschodni taras jest...?

- Zaraz tutaj, proszę pani. - Wskazała miotełką. - Trzeba tylko przejść przez mały salonik.

- Dziękuję.

Przeszła po wspaniale puszystym dywanie i stanęła we francuskich drzwiach. Kamienny taras ograniczały skalne ściany porośnięte bluszczem. Na białym żelaznym stoliku stał dzbanek z kawą i koszyk z brioszkami. Blake, wpatrzony w ekran komputera, popijał kawę z chińskiej filiżanki ze złotym brzeżkiem.

Widok męża znów wzbudził w niej mieszane uczucia - był tak przystojny i poukładany, daleki, a jednocześnie bliski jej sercu.

Odetchnęła głęboko i weszła na taras.

- Dzień dobry.

Odstawił filiżankę, odłożył komputer i wstał.

- Dzień dobry. - Pozdrowienie było równie grzeczne i bezosobowe jak jego uśmiech. - Dobrze spałaś?

- Doskonale - skłamała. - A ty?

- Tak dobrze, jak się można było spodziewać po wczorajszym popołudniu.

Rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie, więc znów przywdział uprzejmą maskę i uniósł brew.

- Jak pewno pamiętasz, przedrzemałem cztery godziny na leżaku. Potem, w nocy nie byłem już taki senny.

Pozostawiła to bez odpowiedzi, ale z jej miny wyczytał wyraźnie, co myśli o jego wynurzeniach.

- Nalej sobie kawy, a ja powiem Auguste, że jesteśmy gotowi... Ach, o wilku mowa.

Na pierwszy rzut oka mało kto wziąłby indywiduum, które pojawiło się w drzwiach tarasu, za absolwenta prestiżowego Le Cordon Blue i dwukrotnego zwycięzcę światowego czempionatu cukierników. Mężczyzna miał przygarbione plecy, rzadkie siwe włosy i długą twarz ze zwisającym smutno

podgardlem. Jeżeli w ciągu minionych dwu lat zdobył się na uśmiech, Blake nie zdołał tego zauważyć.

Wielki Auguste był od dziesięciu lat emerytem i, zdaniem Delilah, bliski zwariowania z nudów, kiedy go poznała. Tylko dzięki niezwyklej sile swojej osobowości zdołała go przekonać, żeby objął stanowisko szefa kuchni w Hotel des Elms.

Blake już wcześniej przywitał się ze wszystkimi, a teraz tylko przedstawił słynnemu szefowi kuchni Grace. Auguste ucałował jej dłoń i nieskończenie smutnym tonem wypowiedział zwyczajową formułę.

- Witam panią w Saint - Remy.

Grace rzuciła mężowi pytająco przerażone spojrzenie, więc wtrącił łagodnie.

- Opowiadałem Grace o twoich muszlach Świętego Jakuba. Może przygotowałbyś je dla nas któregoś wieczoru?

Auguste wydał cierpiętnicze westchnienie i zwrócił smętne spojrzenie z powrotem na Grace.

- Nawet dzisiaj, jeżeli takie jest pani życzenie, madame.

- Byłoby wspaniale. Bardzo dziękuję.

- A teraz przygotuję jaja Benedict dla pani i pana, czy tak?

- Tak. Bardzo prosimy.

Znów się uklonił i odszedł, zwiesiwszy ramiona. Grace obserwowała jego wyjście absolutnie zafascynowana.

- Czy ktoś mu niedawno zmarł? - spytała szeptem.

Pytanie - stopiło lodową ścianę, która zaczęła wyrastać między nimi. Blake roześmiał się i wrócił na swoje miejsce.

- Nic o tym nie wiem. I tak jest w możliwie najbardziej pogodnym nastroju.

- Aha.

Zerknęła z powątpiewaniem na francuskie drzwi i rozłożyła serwetkę na kolanach. Blake czekał, aż naleje sobie mocnej, aromatycznej kawy, by poczęstować ją brioszką.

- Kolację mamy załatwioną - powiedział, kiedy rozsmarowywała na niej masło i dżem truskawkowy. - Co chciałabyś dziś robić?

Zerknęła na niego, sprawdzając, czy za pytaniem nic się nie kryje, i po raz pierwszy tego ranka uśmiechnęła się szczerze.

- Wspomniałeś o szlaku Van Gogha. Bardzo chciałabym go zobaczyć, jeżeli nie masz nic przeciw temu.

Z determinacją zdusił wspomnienie matki, bezlitośnie wlokącej jego i Aleksa ścieżką upamiętniającą sławnego artystę.

- Bardzo chętnie znów się tam wybiorę.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Grace nie mogłaby sobie wymarzyć wspanialszego dnia na tę wycieczkę. Gdzieś nad Atlantykiem sierpień zmienił się we wrzesień, najlepszy czas by cieszyć się balsamiczną prowansalską bryzą i blaskiem słonecznym. Czerwony kabriolet parkował na podjeździe. Wciąż było wystarczająco ciepło na szorty i koszulkę z napisem „I love TEXAS”. Włosy schowała pod czapką z daszkiem, żeby, rozwiewane przez wiatr, nie łaskotały jej w twarz.

Blake ukrył oczy za lustrzanymi okularami. W niebieskiej, rozpiętej pod szyją koszuli z podwiniętymi rękawami wyglądał niezwykle seksownie, stanowczo zbyt kusząco jak na potrzeby Grace.

- Nie wiedziałem, jak dużo wiesz o Vincencie Van Goghu - powiedział - więc kiedy się szykowałeś, wydrukowałem trochę informacji.

- Bardzo ci dziękuję. - Z wdzięcznością przyjęła złożone kartki. - Kilka lat temu byłam na objazdowej wystawie w San Antonio, która prezentowała kilka jego szkiców. O nim samym wiem niewiele, poza tym, że był Holendrem, na tyle niezrównoważonym, by obciąć sobie ucho.

- Na pewno był niezrównoważony, ale nie wiadomo dokładnie, czy rzeczywiście sam je sobie obciął, czy stracił w bójce ze swoim kumplem Gauguinem.

Blake prowadził cienistymi uliczkami na peryferiach Saint - Remy, a Grace poznawała szczegóły z życia niezwykłego artysty, który zginął z własnej ręki w wieku trzydziestu siedmiu lat.

- Piszą tutaj, że Van Gogh sprzedał za życia tylko jeden obraz i umarł, uważając się za nieudacznika. Jakie to smutne.

- Bardzo - zgodził się Blake.

- Tym bardziej że, jak tu piszą, jego autoportret należy do dziesiątki obrazów wycenionych najwyżej na świecie.



Podobno w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym poszedł za siedemdziesiąt jeden milionów dolarów.

- Dziś, ze względu na inflację, byłoby to dziewięćdziesiąt milionów.

Nawet nie próbowała wyobrazić sobie takiej sumy. A potem przypomniała sobie irysy w willi i krótką uwagę Blake'a, że jego matka podarowała oryginał Smithsonian Museum.

Wiedziała, oczywiście, że Daltonowie operują ogromnymi sumami. Przez jakiś czas mieszkała w rezydencji Delilah i niekiedy pomagała jej w działalności charytatywnej. Nie raz i nie dwa usłyszała co nieco o imponujących przedsięwzięciach Blake'a i Aleksa w DI, a przedsmak luksusu, w jaki się wżeniła, dał jej lot przez Atlantykę i Hotel des Elmes. Pomimo to pomysł zakupu obrazu za dziewięćdziesiąt milionów dolarów nadal wydawał jej się surrealistyczny.

Zaciekawił ją błysk bieli po prawej stronie drogi. Zdążyła jeszcze dojrzeć masywny łuk i białą marmurową wieżę, wznoszącą się ku niebu.

- Co to jest?

- Nazywają je Les Antiques. To pozostałości rzymskiego miasta Glanum, które kiedyś zajmowało ten teren. Reszta ruin leży dalej, przy drodze. Któregoś dnia je zwiedzimy.

Skreślił w lewo i ruszył ocienioną drzewami aleją, ciągnącą się pomiędzy polem z jednej strony, a rzędem cyprysów i gajem oliwnym z drugiej. Na horyzoncie rysowały się strzeliste szczyty Alp.

- Jesteśmy.

Byli w Saint - Paul, gdzie niegdyś mieścił się zakład dla obłąkanych, do którego Van Gogh wstąpił dobrowolnie w maju tysiąc osiemset osiemdziesiątego dziewiątego roku. Za porośniętym bluszczem szarym murem można było dostrzec wieżę kościoła i trzy lub cztery prostokątne budynki.

- Saint - Paul zbudowano w jedenastym lub dwunastym wieku jako klasztor augustynów - wyjaśnił Blake, parkując między dwoma autokarami. - W roku tysiąc osiemsetnym przekształcono go w zakład dla obłąkanych i obecnie wciąż mieści się tu szpital psychiatryczny. Szpital jest oczywiście zamknięty, ale kościół i pomieszczenia, w których Van Gogh żył i malował, udostępniono do zwiedzania.

I chętnie były odwiedzane, jak się okazało. Z autokarów właśnie wysiedli pasażerowie i przewodnicy zbierali ich w grupy przed wejściem. Blake kupił dwa bilety, wziął broszurę informacyjną i powoli przeszli przez kołowrót.

- Puśćmy ich przodem - poradził. - Spróbujmy doświadczyć tego spokoju, który miał tu Van Gogh, kiedy malował.

Grace też wolała się nie spieszyć. Ścieżka prowadząca do kościoła i reszty budynków była długa i cienista, obrzeżona z obu stron wspaniałymi rododendronami i barwnym kwieciem. Umieszczone wzdłuż ścieżki pamiątkowe tablice zwracały uwagę na szczególnie urokliwe miejsca i pozwalały porównać własny odbiór z wizją wielkiego malarza.

Kopię jego słynnych Słoneczników umieszczono ponad rzędem niemal identycznych, jasnożółtych kwiatów, pochylających główki w słońcu. W dalszej perspektywie widać było srebrzystolistne drzewa oliwne, a na horyzoncie strzeliste szczyty Alp. Ta sama scena w interpretacji artysty przedstawiona była za pomocą krótkich, śmiałych pociągnięć pędzla. Grace była zafascynowana.

- Zachwycające - szepnęła. - To wspaniale, móc popatrzeć na ten krajobraz oczami artysty.

Powracała do tej tablicy kilkakrotnie, zanim przeszła do następnej. Blake ruszył za nią, znacznie bardziej zainteresowany jej odbiorem Van Gogha niż kompozycjami samymi w sobie.

Sama jest jak jedna ze scen namalowanych przez wielkiego artystę, pomyślał. Pojawiła się w jego życiu krótko po Molly, ale zaabsorbowany dzieckiem, dopiero po dłuższym czasie zobaczył w niej kogoś więcej niż tylko nianię. Kiedy wyjechała z Oklahoma City, tęsknił za nią tak samo jak Molly. Za każdym razem kiedy myślał, że już ją poznał, okazywała się bardziej skomplikowana, niż mu się wydawało, a niezłomna lojalność w stosunku do kuzynki irytowała go, ale i wzbudzała szacunek.

Poszedł za nią do kościoła, stanowiącego część dawnego klasztoru. Zgodnie z kanonami ubóstwa, czystości i posłuszeństwa przestrzegany przez augustynów, kaplica był niewielka i bardzo skromna. Ściany zbudowano z szarych, kamiennych bloków. Połączone łukami kolumny obramowywały wewnętrzny dziedziniec, tworząc chłodną, zacienioną kolumnadę. Pośrodku, w słonecznym blasku kwitła obfitość aromatycznych ziół i róż.

Grace była urzeczona.

- Wyobrażam sobie mnichów, jak tu medytują, spacerują albo oporzadzają rosarium. I mistrza przelewającego na płótno tę zdumiewającą grę blasków i cieni. Pewno byłeś tu mnóstwo razy i bardzo ci dziękuję, że zechciałeś przyjść jeszcze raz ze mną. Dopiero teraz widzę, jak powierzchowna była moja wiedza o Van Goghu.

- To dopiero początek szlaku. W miarę posuwania się naprzód, dowiesz się o nim znacznie więcej.

Podeksycytowana, obróciła się na pięcie. - W takim razie, ruszajmy.

Przez następne pół godziny zwiedzali wnętrze. Okna w dwóch surowych pomieszczeniach, które Van Gogh zajmował przez ponad rok, wychodziły na tylny ogród i faliste pola pszenicy, które artysta przedstawił na wielu swoich obrazach.

Długie rzędy lawendy już prawie przekwitły, ale ich zapach wciąż przesycił powietrze.

Przy wyjściu Grace spędziła dobre pięć minut przed jednym z najbardziej znanych dzieł Van Gogha, zatytułowanym Gwiazdzista noc. Żłociste kule płynące po ciemnokobaltowym niebie zafascynowały ją do tego stopnia, że Blake postanowił kupić oprawioną kopię w sklepiku z pamiątkami. Doceniła gest i zaprotestowała tylko dla zasady.

Wrócili do willi, żeby zostawić obraz, a potem spędzili leniwe dwie godziny, spacerując ścieżkami, które przed laty przemierzał artysta, kiedy jeszcze wolno mu było opuszczać zakład. Szlak prowadził do centrum miasteczka i kończył się przy eleganckim, osiemnastowiecznym hotelu, w którym obecnie urządzono poświęcone artyście muzeum.

Spędzili w nim następną godzinę, a potem Blake zaproponował lunch w znanej w miasteczku restauracji, z większością stolików ustawionych na zewnątrz. Miejsce, doskonałe do obserwacji małomiasteczkowego życia, bardzo spodobało się Grace. Blake wybrał lekkie białe wino miejscowego wyrobu, a dla siebie kanapkę z szynką i serem na ciepło i deser w postaci cienkiego naleśnika z sosem karmelowym. Grace wzięła bouillabaise - zupę rybną z warzywami. Zrezygnowała z deseru, ale z łakomstwa spróbowała wybranego przez Blake'a.

Bez pośpiechu rozkoszowali się posiłkiem, winem i przyjemnym chłodem restauracji. Kiedy w końcu usadowili się w nagrzanym wnętrzu czerwonego kabrioletu, Grace była syta i senna. Obudziło ją dopiero skrzypienie opon na żwirze podjazdu. Wyprostowała się i roześmiała z zażenowaniem.

- Przepraszam. Nie miałam zamiaru spać.

- Nic nie szkodzi. - Zatrzymał tuż przed fontanną. - Wczoraj zachowałem się dużo gorzej.

Na wspomnienie poprzedniego popołudnia zarumieniała się lekko i na wszelki wypadek odmówiła wspólnego pływania.

- Może później. Teraz chciałabym zajrzeć do biblioteki. Ale ty idź, jeżeli masz ochotę.

- Może później. Powinienem odpowiedzieć na mejle.

- W takim razie zobaczymy się później. Jeszcze raz bardzo ci dziękuję za wycieczkę. Naprawdę uroczko spędziłam czas.

- Bardzo proszę. Ja także.

Tego właśnie chciała. Sama się przy tym upierała. Powtórzyła sobie te słowa jak mantrę i skierowała kroki na piętro.

Ściągnęła czapkę, uwalniając splątane od wiatru włosy, i spróbowała przeczesać je palcami. Weszła do zielonej sypialni i stanęła zaskoczona. Kopia Gwiaździstej nocy wisiała nad kominkiem, a chłodne, ciemne barwy obrazu zdawały się dodawać głębi jedwabnemu pokryciu ścian.

Przez dłuższą chwilę po prostu stała w niemym zachwycie, a jej myśli błądziły wokół mężczyzny, który chciał sprawić jej przyjemność, umieszczając obraz właśnie tutaj. Cóż, nie mogła zaprzeczyć, że Blake Dalton był dokładnie takim mężem, jakiego sobie wymarzyła: inteligentnym, taktownym, zabawnym, przystojnym i świetnym w łóżku.

Tak łatwo mogłaby się w nim zakochać, właściwie to już się stało. Szkoda tylko, że wciąż stał pomiędzy nimi cień Anne, stwarzający nieprzeniknioną barierę. Ona nie mogła powiedzieć mu prawdy, on nie zaufa jej, dopóki mu nie powie.

Cień Anne jeszcze nabrał wyrazistości, kiedy tego samego wieczoru zeszła na kolację. Zgodnie z poranną obietnicą, Auguste przygotował muszle Świętego Jakuba, które miały być podane w małej jadalni. Na obu końcach lśniącego stołu stały srebrne kandelabry, a pomiędzy nimi srebrne misy z kompozycjami z białych lilii i różowych róż.

Włożyła szafirową dżersejową sukienkę, która przetrwała podróż niepognieciona. Lekko marszczona spódniczka i dopasowany staniczek ładnie podkreślały jej smukłe kształty, a kolczyki i naszyjnik dodawały szyku.

Blake też się przebrał, ale tym razem zrezygnował z krawata, pozostawiając białą koszulę rozpiętą pod szyją.

- Ładna sukienka - pochwalił. - Dobrze ci w tym odcieniu.  
- Napijesz się czegoś? - zapytał, zmieniając temat i wskazał srebrzyste wiaderko z lodem. - Mamy zimnego szampana.

- Zimy szampan? Kto mógłby się oprzeć?

Wino było butelkowane wyłącznie dla The Elms przez małą winnicę niedaleko Epernay, którą Delilah odkryła kilka lat temu. Ogromnie polubiła obdarowywanie przyjaciół i znajomych butelkami z własną etykietką i w końcu synowie przestali ją przekonywać, że nie każdy jest miłośnikiem tak wytrawnego trunku. Blake nalał dwa kieliszki i podał jeden Grace.

- Za co wypijemy?

- Może za gwiazdziste noce, jak ta na obrazie, który powiesiłeś w mojej sypialni. Bardzo ci dziękuję.

- Bardzo proszę. - Stuknęli się kieliszkami. - Takie noce są tu częste.

Upił łyk i smakował znaną cierpkość wina, ale nie zdziwił się, kiedy Grace zmarszczyła nos i nieufnie przyjrzała się zawartości kieliszka.

- Ależ...

- Bardzo wytrawny?

- Jakiś taki.

- Robią go bez dodatku cukru - wyjaśnił z uśmiechem. - To najnowszy trend w produkcji szampana. Spróbuj jeszcze trochę. Mireille Guiliano bardzo go poleca w swojej książce.

- Skoro tak... - Upiła łyk i znów się zmarszczyła. - Chyba potrzebuję trochę czasu, żeby do niego przywyknąć.

- Podobnie jak do naszego małżeństwa. - Z uśmiechem wziął od niej kieliszek. - Mogę ci zaproponować półwytrawny.

On popijał wytrawnego szampana, Grace ograniczyła się do kieliszka półwytrawnego. Muszle podane przez Auguste były przepyszne. Szeff nakładał jej osobiście, a Blake tyleż przyjemności co z jedzenia miał z wydawanych przez nią pomruków zachwytu.

Moment skrępowania nadszedł przy kawie i deserze. Blake'owi nie przychodził do głowy żaden inny sposób na zagospodarowanie reszty wieczoru poza gorącym seksem, to jednak było wykluczone.

- Może zagramy w karty? - zaproponował po chwili namysłu.

- Możemy. Albo... Widziałam na górze konsolę do gier. Jestem naprawdę niezła w Ubongo.

- Co to jest Ubongo?

- Nie wiesz? W takim razie będę musiała cię nauczyć.

Ani się spodziewał, że Spędzi jedną z nocy swojego miesiąca miodowego, gorączkowo wciskając kciukami czerwone guziki, podczas gdy stwory z dżungli będą szalały po płaskim ekranie telewizora, a jego młoda żona marszczyła z dezaprobatą nos przy każdym jego potknięciu.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kiedy Grace zeszła na śniadanie, Blake przemierzał słoneczny pokój śniadaniowy z telefonem przy uchu. Zerknął na jej zwiewną spódniczkę i białą koronkową bluzeczkę na ramiączkach i uniósł kciuk w geście aprobaty.

Zrobiła dumną minę i odwzajemniła komplement. On też prezentował się świetnie. Zamiast zwyczajowej koszuli z podwiniętymi rękawami, wybrał czarny T - shirt z krótkimi rękawami i jasnobrązowe spodnie. Przylegający materiał podkreślał mięśnie klatki piersiowej i ramion. Grace miała czas, by mu się przyjrzeć, bo odbył chyba ze trzy rozmowy. Kolejną było konferencyjne połączenie z Alekssem i wiceprezesem DI do spraw produkcji. Chociaż w Stanach był środek nocy, obaj mężczyźni sprawiali wrażenie gruntownie rozbudzonych. Do Grace dolatywały jedynie strzępy ich rozmowy, bo była zajęta pochłanianiem kolejnego śniadaniowego arcydzieła Auguste.

W końcu zakończył rozmowę i usiadł obok niej.

- Chyba będę musiał zostać dziś w domu, przynajmniej dopóki nie dopracujemy planu działania. Alex przeprasza, że zakłóca ci miesiąc miodowy.

- Żaden problem - odparła. - Chętnie pójdę do miasteczka. I tak chciałam zrobić zakupy.

Kiedy godzinę później ruszyła w drogę, zobaczyła samochody stłoczone w każdym możliwym do zaparkowania miejscu wzdłuż cienistej ulicy prowadzącej do centrum. Najwyraźniej coś się tam działo. Jasnoczerwone parasole i płócienne namioty wyrosłe w każdym zakamarku dostarczyły kolejnych wskazówek.

Z zachwytem odkryła, że był to w Saint - Remy dzień targowy. Handlowano wszystkim, od książek i antyków poczynając, na świeżych warzywach, sznurach kiełbas i ogromnych kołach serów kończąc. Wiele straganów oferowało



towary w sennych barwach Prowansji - bladożółte, bladnoróżowe i lawendowe mydełka, brązowe czerwienie i żółcie wyrobów garncarskich i płótna.

Wędrowała zatłoczonymi uliczkami, wdychając idące do głowy zapachy i chętnie przyjmując darmowe próbki tam, gdzie je oferowano. Kupiła paczkowane mydełka dla przyjaciół w San Antonio, ręcznie szytą sukienkę i kapelusz z opadającym rondem przybrany słonecznikami dla Molly, a także niewielką, lecz kunsztownie wykonaną broszkę z kameą dla Delilah.

Podziękowała sprzedawcy i już miała zawrócić, kiedy jej wzrok przyciągnęła drewniana kasetka leżąca w tyle ocienionego parasolem straganu. Jej zawartość wyglądała na własność mężczyzny - misternie wykonane srebrne klamery do butów, perłowe szpilki do krawata, oprawione w złoto monokl i obrączka.

W porównaniu z resztą zawartości kasetki, obrączka była raczej skromna. Jediną ozdobą szerokiej, złotej powierzchni była onyksowa lilia. Przynajmniej Grace uznała te lśniące czarne kamienie za onyks.

Poznała swój błąd, kiedy sprzedawca wyjął obrączkę z kasetki i podał jej do obejrzenia,

- Madame ma dobre oko - pochwalił. - To bardzo stara i cenna rzecz. Zdobiona czarnymi szafirami.

- Nie wiedziałam, że czarne szafiry w ogóle istnieją.

- Ależ tak. Proszę obejrzyć pod światło, a zobaczy pani kunsztowność szlif.

Zrobiła, jak radził. Wprawdzie nie miała pojęcia o cięciu kamieni szlachetnych, ale szafiry rzucały tak niezwykły blask, że aż westchnęła w zachwycie, a sprzedawca nabrał nadziei na udaną transakcję. Dla zachęty dorzucił gratis historię obrączki.

- Podobno kiedyś należała do hrabiego Prowansji. Ale ostatniego z ich potomków ścięto podczas wielkiej rewolucji,

a motłoch splądrował i spalił jego rezydencję. Dlatego nie mamy pisanego świadectwa losów tego drobiazgu. Jak wy to mówicie? Certyfikatu autentyczności. Tylko tę pogłoskę.

Grace było wszystko jedno. Ona opuściła biuro sędziego Honeywella w obrączce z brylantami. Obrączka Blake'a była tylko zwykłym paskiem złota.

Nie potrzebowała certyfikatu autentyczności. Połyskujące czarne kamienie mówiły same za siebie.

- Ile kosztuje?

Wymienił przerażającą sumę, na szczęście do negocjacji. Przez kilka minut składali sobie nawzajem odmienne propozycje, kręcąc głowami i potrząsając rękoma. W końcu Grace poddała się i z westchnieniem odłożyła obrączkę do kasetki. Sprzedawca natychmiast wyciągnął ją z powrotem.

- Proszę tylko spojrzeć na te kamienie, madame. To dzieło sztuki.

- Nawet nie wiem, czy będzie pasowała na palec mojego męża.

- Zawsze można ją dopasować.

Jego spojrzenie powędrowało do jej serdecznego palca i obrączki z brylantami. Najwyraźniej uznał, że spokojnie może sobie pozwolić na zakup, ale zmniejszył cenę jeszcze o pięćdziesiąt euro. Grace usiłowała przeliczyć to na dolary i porównać ze stanem swojego mocno uszczuplonego konta.

Chyba da radę. Ledwo. Decyzję podkreśliła wzruszeniem ramion..

- Mogę zapłacić kartą?

Wróciła do willi z zielonym pudełeczkiem z obrączką ukrytym głęboko w torebce. Miejskowa urzędniczka dostarczyła przysłane kurierem dokumenty i Blake zaprosił ją na lunch. Kobieta okazała się bardzo sympatyczna i z entuzjazmem podeszła do informacji, że Blake chce pokazać żonie starożytnie rzymskie ruiny.

Poradziła im jechać tam wieczorem, by uniknąć skutków strajku środków transportu.

Blake był zadowolony z tego, co udało mu się załatwić tego przedpołudnia, i mógł się wyrwać na kilka godzin, choć nie rozstawał się z telefonem.

Budowle, które poprzedniego dnia widzieli z oddalenia, z bliska robiły jeszcze większe wrażenie. Blake zaparkował na piaszczystej drodze dojazdowej wśród innych samochodów i autokarów. Grace uśmiechnęła się na widok gromadki hałaśliwych, rozentuzjasmowanych nastolatków.

- Byłam z moimi uczniami na kilku takich wycieczkach - powiedziała. - Trudno wyczuć, ile z tego, co widzieli, naprawdę w nich zostaje.

Zdaniem Blake'a, niewiele. Z tego co pamiętał, chłopców w tym wieku o wiele bardziej pociągały dziewczęta w obcisłych dżinsach niż antyczne ruiny.

To zresztą dotyczyło chyba chłopców w każdym wieku. Grace wprawdzie nie była w dżinsach, ale zebrała wiele aprobujących spojrzeń zarówno uczniów, jak i ich opiekunów, kiedy oboje dołączyli do grupy wędrujących zakurzoną ścieżką.

Budowle lśniły biało w popołudniowym słońcu. Blake nie mógł sobie przypomnieć, czyj tryumf miał upamiętniać łuk - może podbój Marsylii? Wiedział natomiast, że doskonale zachowana marmurowa wieża służyła jako mauzoleum prominentnego rzymskiego rodu. Na szczęście wszędzie znajdowały się tabliczki z opisami po francusku i po angielsku.

Oczywiście Grace musiała przeczytać każde słowo, podobnie jak na szlaku Van Gogha. Zerkając ponad głowami dzieciaków, przeniosła wzrok z tabliczki na kunsztowny wzór po spodniej stronie łuku.

- Bardzo ciekawe. Kwiaty i winorośl symbolizują żyzność prowincji rzymskiej czyli Prowansji. Do tej pory nie wiedziałam, jaki jest źródłosłów tej nazwy.

Dwójka nastolatków najwyraźniej uznała, że powiedziała to do nich. Odwrócili się, jeden wyciągnął z ucha słuchawkę, a drugi wsunął pod ramię coś, co wyglądało jak szkicownik.

- Pardon, madame? - zapytał grzecznie.

- Nazwa „Prowansja”. - Wskazała tabliczkę. - Pochodzi z łaciny.

- Oui.

Blake ukrył uśmiech, kiedy zauważył we wzroku chłopców instynktowną aprobatę. Najwyraźniej spodobało im się to, co zobaczyli. A komu by się nie spodobało? Potargane wiatrem jasne włosy wyglądały jak jedwab, a biała, koronkowa bluzeczka kontrastowała z muśniętą prowansalskim słońcem skórą. Nic dziwnego, że chłopcy zostali z tyłu, kiedy reszta grupy robiła sobie zdjęcia pod czujnym okiem opiekunów.

- Jest pani Amerykanką? - zapytał wyższy z nich.

- Tak, z Teksasu.

- Ach, Teksas. Kowboje, prawda? I krowy z takimi rogami.

Wyciągnął ramiona, a Grace uśmiechnęła się i obrysowała kształt.

- Raczej z takimi.

- Oui?

- Oui. A wy? Skąd jesteście?

- Z Lyonu, proszę pani.

Niższy chłopiec też chciał się pochwalić swoim angielskim.

- Uczymy się o Rzymianach - powiedział. - Kiedyś żyli w Lyonie i w innych częściach Prowansji. Pewno widziała pani Koloseum w Arles i Pont du Gard?

- Jeszcze nie.

- Musi pani koniecznie! - Wyższy chłopiec otworzył szkicownik i szybko przerzucał kartki. - Proszę. To Pont du Gard.

Grace była pod wrażeniem. Blake, który widział sławny akwedukt kilkakrotnie, także. Rysunki chłopca doskonale oddawały zarówno konstrukcję, jak i strzeliste piękno trzech rzędów łuków.

W tej chwili podszedł do nich jeden z opiekunów, a kiedy wyszło na jaw, że Grace też uczy, dołączył do chłopców w wymienianiu rzymskich pozostałości, które koniecznie powinna zobaczyć. Pokazał jej też listę interesujących pod względem architektonicznym i historycznym elementów w najbliższej okolicy, które uczniowie mieli odszukać w ramach utrwalania nabytej wiedzy.

- Świetny pomysł - pochwaliła Grace, kiedy przejrzała cztery skopiowane kartki. - Zupełnie jak poszukiwanie skarbu.

- Będą szukali w zespołach - wyjaśnił nauczyciel. - Powinna się pani do nas przyłączyć. Dużo lepiej pozna pani to miejsce.

- Chciałbym, ale... - Rzuciła pytające spojrzenie Blake'owi. - Mamy czas?

- Jasne.

- W takim razie, zgoda.

Blake ocenił reakcję chłopców jednym spojrzeniem.

- Wy szukajcie - zaproponował. - Ja sobie tu zostanę.

Z ochotą dołączyła do poszukiwań. Jej nieudawane zainteresowanie i radosny uśmiech uczyniło z jej dwóch towarzyszy wiernych niewolników. Dumni jak młode koguciki, opowiadali jej historię pierwszego elementu z listy.

Blake znalazł sobie zacienione miejsce, usiadł na marmurowym bloku i obserwował z daleka, jak Grace i chłopcy odszukali dwa pierwsze elementy na łuku i trzy

kolejne na wieży mauzoleum. Był ciekaw, czy chłopcy zdawali sobie sprawę, że wielkodusznie pozwoliła, by to oni dokonali odkrycia. Albo że jej pozornie niewinne prośby o tłumaczenie zmuszały ich do wnikliwszego zainteresowania się historią stanowiska. Przynajmniej tych dwóch wróci do domu jako eksperci od Les Antiques.

Poszukiwania przeniosły się za drogę, w kierunku wjazdu do Glanum. Inaczej niż przy łuku i mauzoleum, dostęp do miasta był kontrolowany, a teren wykopalisk oświetlony. I chociaż jego część odgrodzono linami, wciąż było dużo do zbadania. Uczniowie zaglądali do palenisk, które ogrzewały łaźnie, wdrapywali się na nierówne kamienie helleńskiej świątyni i przebiegali wąską, krętą ścieżką przez wąwóz na końcu miasteczka do źródła, które zachęciło Gallów do osiedlenia się tutaj na długo przed przybyciem Rzymian.

Grace też tam była ze swoimi towarzyszami, ostrożnie wędrowała po zniszczonych kamiennych stopniach do stawku, zasilanego wodą ze świętego źródła. Dzięki temu, że potrafiła odczytać łacińską inskrypcję poświęcającą stawek Valetudo rzymskiej bogini zdrowia, zdobyła sobie dodatkowe punkty u chłopców, a zachwyty jaki w nich obudziła, sprawił Blake'owi niekłamaną satysfakcję.

Domyślał się, o czym dzieciaki będą śniły tej nocy. Z nim byłoby tak samo. A i teraz nic się nie zmieniło, pomyślał, nie odrywając tęsknego wzroku od swojej żony.

Po zakończeniu poszukiwań, Grace, chłopcy i ich nauczyciel wymienili się mejlami i po pożegnaniu Grace i Blake wrócili do samochodu.

- Świetnie się z nimi dogadywałaś - skomplementował ją.
- Dziękuję. Naprawdę lubię pracować z młodzieżą. Większość ma takie żywe umysły.

Idąc piaszczystą ścieżką, wzniecali kurz. Drogą śmignął samochód. W nieruchomym powietrzu unosiły się zapachy lata. Blake wziął Grace za rękę.

Zobaczył, jak zerka w dół, na ich splecione palce. Drobną zmarszczką przecięła jej czoło, ale nie odebrała mu dłoni. Doszli do samochodu i Blake sięgnął, by otworzyć drzwi pasażera. Grace powstrzymała go, opierając się o niego.

- Kupiłam ci coś dziś rano. - Wyłowiła z torebki zielone aksamitne pudełeczko. - To nic wielkiego, ale chciałam, żebyś to miał.

Otworzył pudełeczko i ciężka, złota obrączka wypadła mu na dłoń, a lilia z czarnych szafirów zamigotała tęczowo.

- Sprzedawca powiedział, że to antyk. Podobno należała do hrabiego Prowansji, ale nie ma dokumentów, które by to potwierdziły. - Zerknęła na niego z mieszanką niepewności i nieśmiałości. - Podoba ci się?

- Bardzo. I bardzo ci dziękuję.

Serdeczne podziękowanie zmiotło nieśmiałość i niepewność.

- Proszę.

Domyślił się, jak bardzo musiała się wykosztować, ale nie chciał psuć nastroju rozmową o pieniądzach. Zamiast tego podniósł obrączkę do światła.

- Kamienie są przepięknie oszlifowane.

- Sprzedawca też tak twierdził.

- Miał rację. Rzadko można zobaczyć szafiry z tak wieloma fasetami.

- Skąd wiesz, że to szafiry? Uśmiechnął się, odkładając obrączkę.

- Mama chciała, żebym się zajął ubezpieczeniem i certyfikatami autentyczności jej biżuterii. Ma w swojej kolekcji więcej rzadkich kamieni niż Smithsonian Museum.

- Nie wątpię. Pozwól mi, proszę. - Wsunęła mu obrączkę na palec i zatrzymała na moment nad kostką.

- Niech ta obrączka... - Słowa przysięgi rozlegały się echem w głowie Blake'a, a Grace przesunęła obrączkę niżej. Pasowała akurat i w końcu znalazła się na swoim miejscu. - Przysięgam.

Dokończyła szeptem i zamknęła jego dłoń w swojej. Blake nie odpowiedział. Nie był w stanie. Głębokie wzruszenie ścisnęło go za gardło.

- Pamiętam każdą chwilę w biurze sędziego - zwierzyła się drżąco. - Mogę powtórzyć każde słowo. Ale... - zanim popatrzyła mu w oczy, rozejrzała się po pustym parkingu - dopiero teraz czuję, że to prawda.

- To prawda. Bardziej niż to sobie wyobrażałem w biurze sędziego.

Mocno ścisnął ją za rękę, aż znów na niego spojrzała.

- Pozwól mi zabrać cię do domu i pokazać, jak bardzo stało się to prawdziwe i dla mnie.

Nie miał już wątpliwości. Nawet najmniejszych. Krótką drogę do willi przejechał pod wpływem adrenaliny, mocno ściskając kierownicę.

Wchodząc za Grace po schodach i do zielonej sypialni, czuł się pewnie, dopiero gdy odwróciła się do niego, przestraszył się, że znów mu umknie, nalegając, by pozostali w chłodno przyjaznych stosunkach.

Nigdy dotąd nie pragnął kobiety tak mocno jak jej. Nigdy żadnej tak nie kochał.

- Zamknij drzwi.

Prośba dotarła do niego dopiero po dłuższej chwili, chwilę zajęło mu zasunięcie starej zasuwki. Kiedy znów odwrócił się do Grace, właśnie sięgała do guziczka białej bluzeczki. Wymruczał coś niezrozumiale i przytrzymał jej dłoń.



- Proszę. Marzyłem, żeby je porozpinać, odkąd zesłaś dziś na śniadanie.

Zmusił się, żeby zrobić to powoli. Chciał, żeby jej fascynujące piersi ukazywały się stopniowo. Kiedy spod bluzki wyłonił się staniczek, nie wytrzymał i pospiesznie zsunął bluzkę z jej ramion.

Do diabła! Zachowywał się jak napalony nastolatek, natomiast Grace była bardzo opanowana. Nie okazała nawet cienia zakłopotania czy wstydu, kiedy bluzeczka zsunęła się na dywan.

Sięgnęła do tyłu, by odpiąć zapinkę. Ten ruch był tak czysto kobiecy, tak przepojony erotyzmem i podniecający, że Blake momentalnie zatęsknił za dotykiem jej gładkiego, nagiego ciała na swoim. Ale kiedy pospiesznie wyciągnął koszulę ze spodni, ona powtórzyła jego wcześniejszy gest i przytrzymała jego dłonie.

- Moja kolej.

Podobnie jak on, nie spieszyła się, a kiedy zsunęła mu koszulę przez głowę, sięgnęła do paska od spodni, uśmiechając się przy tym konspiracyjnie.

- Marzyłam o tym, odkąd zesłałam dziś na śniadanie. W końcu zamknął ją w ramionach i zaniósł do łóżka.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Popołudnie w basenie obudziło w Blake'u bestię. Tym razem postara się zapanować nad sobą. Powoli odsunął ciężką kapę i ułożył Grace w chłodnej pościeli. Równie wolno rozebrał ich oboje do końca, a kiedy w końcu legł obok, przez dłuższą chwilę sycił wzrok jej widokiem.

- Szkoda, że nie ma tu Van Gogha. Na pewno chętnie by cię namalował.

- Wątpię.

- Cóż, dla mnie jesteś niezwykle inspirująca. Na przykład tutaj... - Musnął jej usta. - I tutaj... - Przeniósł wargi na policzki i powieki. - I tutaj... - Tym razem skupił się na piersiach.

Eksplorowanie ciała żony było niezwykle przyjemnie dręczącym przeżyciem, tym bardziej że Grace z entuzjazmem odwzajemniała jego pieszczoty. Musiał przyznać, że nigdy w życiu nie widział niczego piękniejszego i bardziej uwodzicielskiego.

- Zapomnij o Van Goghu - mruknął. - Nawet on nie zdołałby ci oddać sprawiedliwości.

Grace obudziła się nagle. Coś jakby drobny papier ścierny przejechało jej po skroni. Broda Blake'a. Nieogolona i drapiąca. Zdecydowana przedłużyć czarowne chwile, z powrotem wetknęła nos w ciepłe miejsce pomiędzy jego szyją a ramieniem.

- Grace?

- Mmm.

- Śpisz?

- Mmm.

Poruszył się, a broda znów ją poskrobała. Uniosła głowę i rozejrzała się po ciemnym pokoju.

- Która godzina?

- Koło szóstej.

- O! - Opuściła głowę, usiłując znów zapaść w sen, ale Blake roześmiał się głośno.

- Widzę, że nie jesteś rannym ptaszkiem?

- Mmm, niekoniecznie.

- Postaram się zapamiętać do przyszłego wykorzystania. Dopiero po kilku minutach zdołała się otrząsnąć z rozespania. Podparła się na łokciu i odgarnęła włosy z oczu.

- A ty? Jesteś rannym ptaszkiem?

- Chyba tak. Nie śpię już od dobrej godziny. Jęknęła i usiłowała zanurzyć twarz w poduszce, ale znów się poruszył. Skończyło się tak, że podparta na łokciu wpatrywała się w niego. O potarganych włosach i nieumytej twarzy starała się nie myśleć.

Blake za to wyglądał nienagannie. Z leniwym uśmiechem igrającym w niebieskich oczach, kusząco nagi na skłębionym prześcieradle. Kiedy skończyła inspekcję i znów spojrzała mu w oczy, zauważyła, że jego uśmiech się zmienił. Był teraz bardziej poważny.

- Rozmyślałem sobie trochę, kiedy tak tu przy tobie leżałem.

Domyślała się, co odpowie, ale i tak zapytała: - O czym?

- O nas.

Podtrzymujące ją ramię nagle osłabło. Czy chciał coś zmienić w ich rozwijającym się związku? Poczynić nowe ustalenia?

- I jakie wnioski? - spytała, usiłując powstrzymać drżenie głosu.

- Chciałbym, żeby to zadziałało. Ja, ty, nasze małżeństwo.

- Myślałam, że właśnie nad tym pracujemy.

- Nie to słowo. Chciałbym, żeby to było naprawdę. - Wsunął jej splecione kosmyki za ucho. - Chcę spędzić resztę życia z tobą, Molly i naszymi wspólnymi dziećmi.

No nie! Czy naprawdę musiała rozmawiać o tym z nieumytymi zębami i pozagniataną od snu twarzą?

- Zaczekaj. - Zmarszczył się, ale już wyskoczyła z łóżka. - Zaraz wracam.

Była w łazience może trzy minuty. Kiedy wróciła, siedział oparty plecami o wezglowie. Niepewność pozostała, ale jej nagość wyraźnie dodała mu pewności siebie. Wdrapała się na łożo i uklękła przed nim.

- Teraz możemy porozmawiać. Powtórz jeszcze raz to, co mówiłeś wcześniej.

Uniósł brew, ale powtórzył posłusznie:

- Chcę spędzić resztę życia z tobą.

- Ze mną i? - podpowiedziała.

- Z tobą, Molly i naszymi wspólnymi dziećmi. Jego słowa uszczęśliwiły ją, ale musiała mieć pewność.

- Nawet jeżeli nie zdradzę ci sekretu Anne?

- Nie podoba mi się to - przyznał uczciwie. - Ale dam radę z tym żyć.

- W takim razie załatwione. My oboje, Molly, więcej dzieci.

Znów się roześmiał, tym razem ze wzruszającą czułością.

- Przestraszyłaś mnie.

- Następnym razem poczekaj z takimi rewelacjami, aż umyję zęby.

- Zapamiętam.

Przytuliła się do drapiącego policzka, zachwycona perspektywą spędzenia miesięcy i lat u boku tak niezwykłego mężczyzny. Z sercem pełnym nadziei wyciągnęła się przy nim, by przypieczętować nową umowę.

Po raczej trudnym początku Grace wprost nie mogła uwierzyć, że jej miesiąc miodowy stanie się jednym wielkim spełnieniem marzeń.

Sprawy służbowe ułożyły się pomyślnie i Blake nie musiał się nimi więcej zajmować. Budził się wcześniej, od razu w pełni przytomny i pełen energii. Ona sama nie była może pełnym leniwcem, ale wolała otwierać oczy w słońcu niż we wczesnoporannym mroku. Osiągnęli kompromis, kochając się do późna każdej nocy, a rankami dopiero wtedy, gdy była już w pełni rozbudzona.

Dużo czasu poświęcali uczeniu się siebie nawzajem. Grace wiedziała już, że Blake lubi czytać, ale dotychczas widywała go tylko schowanego za płachtą „Wall Street Journal” albo „The New York Timesa” czy też literatury faktu. Ona sama w jedno z rzadkich tutaj deszczowych popołudni pogrzebała w bibliotece i znalazła Jane Eyre, jedną z jej ulubionych lektur. Chętnie czytywała też bestsellery, które Blake kupował w miasteczku, na stoisku, gdzie poza francuskimi sprzedawano też książki angielskie.

Większość czasu spędzali na basenie, w miasteczku lub też zwiedzając Prowansję. Rzymskie ruiny w Glanum rozbudziły zainteresowanie Grace, a Koloseum w Arles i sztańce w Orange znacznie przewyższyły jej oczekiwania. Gwóźdź programu wycieczek stanowiły nieodmiennie kosze piknikowe Auguste'a, a jego szczytowym osiągnięciem okazało się menu na wypad do Pont du Gard. Na kamiennej ławie z widokiem na trójpoziomowy akwedukt zjedli nadziewaną truflami pierś kapłona i małe marcheweczki z perłowymi cebulkami.

Odwiedzając pałac papieży w Avignonie, cofnęli się w czasie o ponad dwanaście stuleci. Budowany w okresie, gdy zatarg pomiędzy Rzymem i królem Francji Filipem IV doprowadził do powstania dwóch Współzawodniczących papieństw, pałac stanowił zespół kamiennych bloków i wieżyc ze skalistą wychodnią z widokiem na Rodan.

Na następną wycieczkę pojechali do Chateauneuf du Pape, wzniesionego przez miłującego wino francuskiego papieża dla rozświetlenia rejonu upraw winnych. Pałac stanął na szczycie wzgórza otoczonego winnicami i gajami oliwnymi, a dziś odbywały się tam degustacje doskonałych czerwonych win.

Każdy dzień przynosił nowe doświadczenia i co dzień Grace zakochiwała się mocniej w swoim mężu, a wspólne noce jeszcze dodawały temu uczuciu intensywności. Z całej duszy pragnęła w pełni wykorzystać te chwile, kiedy miała Blake'a tylko dla siebie. Starła się też nie przerywać idylli pytaniami. Chwilowo nie chciała wiedzieć, gdzie będą mieszkać, czy powinna przenieść swój nauczycielski certyfikat z Teksasu do Oklahomy, jak na ich wzajemną relację zareaguje Delilah.

Pewnego słonecznego ranka wybrali się na targowisko do małego miasteczka odległego o jakieś trzydzieści kilometrów. Targ w L'Isie sur la Sorgue był znacznie większy niż w Saint - Remy i pełen turystów, ale za to okolica wprost bajkowa.

Na późne śniadanie wypili cappuccino i zjedli po waflowym rożku z truskawkami pokrytym czapą bitej śmietany. Potem próbowali niezliczonych rodzajów serów, kiełbas i świeżo pieczonych ciast. Tak się opchali, że kiedy Blake zaproponował lunch, Grace potrząsnęła odmownie głową i machnęła torbą z właśnie kupionymi małymi tartami z porami i kozim serem.

- Jedna taka zupełnie mi wystarczy. Chciałabym się tylko czegoś napić.

Blake wskazał rząd ławek z widokiem na brzeg rzeki, ustawionych w cieniu pod płaczącymi wierzbami, które dawały tak pożądaną cień.

- Zaczekaj tam. Przed chwilą mijaliśmy stoisko ze świeżo wyciskanymi sokami. Robią przepyszne mieszanki. Masz jakieś ulubione?

- Lubię wszystko oprócz kiwi. Nie cierpię ich włośchatości.

- W takim razie, bez kiwi. Załatwione. Jeszcze coś, co muszę zapamiętać.

Grace usiadła na trawie i wyciągnęła przed siebie nogi. Odpoczywało tu sporo osób. Matki, ojcowie i dziadkowie przechadzali się wolno, zwracając baczność uwagę na dzieci. Kawalek dalej młoda para przeniosła się do pozycji horyzontalnej, co przysporzyło im kąśliwych uwag przechodzącej obok rodziny.

Grace obserwowała pewną matkę karmiącą maleństwo piersią. Pogodna jak Madonna na obrazie któregoś z mistrzów, umieściła dziecko w zagłębieniu ramienia i delikatnie przytrzymała sutek pomiędzy jego wargami. Nie kłopotowała się wystawieniem swojej nagości na widok publiczny, jakby wypełniała najbardziej naturalny obowiązek na świecie. Mijający ją mężczyźni pospiesznie odwracali wzrok, niektóre kobiety uśmiechały się, inne wyglądały, jakby wracały wspomnieniem do tych samych chwil, na twarzach jednej czy dwóch zauważyła cień zazdrości.

Scena wywołała w Grace natłok emocji, o których sądziła, że zostały dawno pogrzebane. Kiedy pod jej opiekę trafiło dziecko Anne, robiła, co mogła, żeby się do niego nie przywiązać, co od początku było batalią skazaną na przegraną. Niemal od momentu, kiedy pierwszy raz wzięła Molly w ramiona, starała się być przygotowana na różne ewentualności. Mogła ukryć maleństwo, a po jakimś czasie wyznać przyjaciółom, że była w ciąży. Z obawy przed sadystycznym mężem Anne planowała wyjechać gdzieś, gdzie nikt by jej nie znał, i wychować Molly jak swoją.

Ale umierająca kuzynka błagała ją o oddanie córeczki ojcu. Grace, choć niechętnie, ustąpiła. To zrozumiałe, że dziecko powinno być z ojcem, a tygodnie, które spędziła u

Daltonów jako tymczasowa niania, tylko to przekonanie umocniły. Ale przez ten czas już mocno związała się z Molly. W dodatku przywiązała się także do Daltonów i drżała na myśl, że któregoś dnia będzie musiała przeciąć obie te więzi. Tymczasem wszystko ułożyło się inaczej.

Podciągnęła nogi i oparła brodę na kolanach. Nadal musiała być przygotowana na różne ewentualności. Nie mogła dopuścić, by mąż Anne dowiedział się, że Grace poślubiła ojca małego dziecka. Petrie sprawdziłby Blake'a i odkrył, że nie jest wdowcem. Nie uszłoby jego uwagi, że córka pojawia się w jego życiu w tym samym momencie co Grace.

Powinna skontaktować się z przyjaciółmi w San Antonio. Rozpuścić plotkę, że poznała kogoś, może podczas przerwy świątecznej, i spędziła wiosnę, szykując się do niespodziewanej zmiany w życiu. Potem powie, że Blake Dalton zmienił zdanie i przekonał ją, żeby za niego wyszła.

W ten sposób wieści dotrą do jej współpracowników, a być może i do Jacka Petriego. To powinno wystarczyć, by nigdy nie trafił na trop Molly. Musi wystarczyć!

Zagłębiając się w rozmyślaniach, nie słyszała Blake'a, dopóki przy niej nie kucnął.

- Truskawka, brzoskwinia, mango dla ciebie. Borówka amerykańska z bananem dla mnie.

Odsunęła torbę z tartami, by zrobić mu miejsce obok siebie. Usiadł ze skrzyżowanymi nogami i podał jej plastikowy kubek z czapą bitej śmietany i ciemnoczerwoną wisienką. Jedli w przyjacielskiej atmosferze, ciesząc się chwilą.

Rzeka Sorgue płynęła gładka i zielona tylko kilka metrów dalej. Młodzi kochankowie wciąż leżeli nad brzegiem, dotykając się nosami. Ojciec rodziny siedział w kucki, mając po obu bokach roześmiane córki. Jego żona poklepywała nakarmione dziecko po plecach.



Ten bobas w niczym nie przypominał Molly. Nie miał niebieskich oczu ani złocistych kędziorków, ale kiedy pomachał małą piąstką i uśmiechnął się szeroko, Grace odmachnęła mu z uśmiechem.

Blake usłyszał ciche westchnienie i nie był ani trochę zaskoczony wyrazem tęsknoty w jej oczach.

- Bardzo mi tu z tobą dobrze. Każdy dzień to urzeczywistnienie moich najskrytszych fantazji, ale...

Spojrzała na uśmiechniętego malca i Blake odczytał jej myśli.

- Ja też tęsknię za Molly - wyznał z uśmiechem. -  
Wracajmy do domu.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Kiedy decyzja została podjęta, Blake zorganizował wszystko błyskawicznie. Kiedy wracali zatłoczonymi uliczkami do samochodu, sprawdził telefonicznie plan lotów firmowego odrzutowca. Samolot był akurat po drugiej stronie Atlantyku, więc zarezerwował bilety na bezpośredni lot do Dallas jeszcze tego samego wieczoru. Dodając różnicę czasu i przelot do Oklahomy będą w domu niemal o tej samej porze, o jakiej opuszczą Francję.

Grace miała zaledwie godzinę na pospieszne spakowanie rzeczy i pożegnanie z Augustem i resztą personelu. Pożegnanie w wykonaniu Blake'a składało się z ogromnego napiwku dla każdego i obietnicy, że wkrótce znów przywiezie madame, tym razem na dłużej.

Podkrecona pośpiechem i pragnieniem powrotu do Molly, Grace poczuła zmęczenie dopiero po przesiadce w Dallas. Poza tym obawiała się ponownego stanięcia twarzą w twarz z Delilah, która wyraźnie dała do zrozumienia, że nie jest zadowolona z tego szybkiego ślubu i nie omieszka wyrazić swojego zdania po ich powrocie z Francji.

Grace nie potrafiła sobie wyobrazić, jak głowa rodu Daltonów zareaguje na ich odmieniony związek. Przecież musiała się orientować, że Blake zaproponował jej małżeństwo z powodów czysto praktycznych. W każdym razie, te były najistotniejsze. Czy uwierzy, że jego uczucia mogły ulec tak radykalnej odmianie w tak krótkim czasie? Pewnie nie, skoro samej Grace trudno było w to uwierzyć.

Do czasu, kiedy znaleźli się na podjeździe prowadzącym do rezydencji Delilah w Nichols Hill, obawy Grace osiągnęły rozmiary apokaliptyczne. Zaraz potem frontowe drzwi otworzyły się z rozmachem i Grace zrozumiała natychmiast, że nie doceniła Delilah. Starsza pani tylko na nich zerknęła i

wydała okrzyk, który zabrzmiał jak wystrzał w czystym wrześnieowym powietrzu.

- Wiedziałam! - obwieściła głośno, kiedy wchodzili po schodach. - Nikt nie potrafi się oprzeć fatalnej kombinacji Prowansji i Auguste'a. Zwłaszcza para tak pasująca do siebie jak wy.

- Czy ty się kiedykolwiek zmęczysz ciągłym mieniem racji? - Blake pochylił się, by pocałować ją w policzek.

- Nigdy. - Niebieskie Oczy, tylko o ton jaśniejsze od synowskich, były utkwione w Grace. - I radzę ci to zapamiętać, moja panno. A teraz chodź tu i pozwól mi uściskać moją najnowszą synową.

Zanurzenie w gruchoczących kości objęciach i chmurze niemożliwie kosztownych perfum momentalnie przeistoczyło Grace z byłej pracownicy w prawowitego członka rodziny. Była tak bardzo wzruszona, że z trudem powstrzymała łzy.

- Dziękuję mamie za wszystko... z całego serca.

- To my powinniśmy dziękować tobie. - Uścisk jeszcze się wzmocnił. Głos Delilah zachrypiał niebezpiecznie. - Przecież to tobie zawdzięczamy Molly.

Kiedy się rozdzieliły, obie pociągały nosami. Zakłopotana swoim nietypowo sentymentalnym zachowaniem Delilah machnęła ręką w stronę schodów.

- Na pewno chcecie zobaczyć małą. Jest w pokoju dzieciennym. Przed chwilą się obudziła.

Poprzednim razem, kiedy Grace wchodziła po tych wspaniałych schodach, była jeszcze pracownicą Delilah. Teraz, kiedy szła po nich z Blakiem, do dziecka, które mieli wspólnie wychowywać, wciąż trudno jej było uwierzyć, że mogła nazywać to dziecko i tego mężczyznę swoimi bliskimi.

Weszli do pokoju dzieciennego, który Delilah wyposażyła tak szybko i szczerze. Molly stała w łóżeczku z siatką. Blond włoski poskręcały się w drobne loczki, niebieskie oczy

śledziły ich wejście z odrobiną zniecierpliwienia, jakby już zbyt długo na nich czekała.

Na jej widok serce Grace zabiło wzruszeniem, a roztopiło się niemal całkowicie, kiedy Molly zagruchała z zadowolenia i wyciągnęła do niej rączki.

- Gace!

Na wpół ze śmiechem, na wpół z łkaniem, Grace chwyciła dziecko w objęcia.

Minął wrzesień i nastał październik. W miarę upływu czasu Grace nabierała wewnętrznego przekonania, że taka idylla nie może trwać. W końcu nadejdzie chwila zapłaty za codzienne szczęście. Jednak dni i noce spędzane w towarzystwie najbliższych pozwoliły odsunąć tę dręczącą myśl.

Przede wszystkim koniecznie musieli znaleźć dom. Zamiast przenosić pokój dziecienny Molly do kawalerskiego mieszkania Blake'a, przyjęli propozycję Delilah zamieszkania w gościnnym skrzydle rezydencji. W ten sposób Grace mogła się zacząć rozglądać.

Początkowo obawiała się, że Delilah będzie ją namawiała na coś bardzo okazałego, ale teściowej przyświecał teraz tylko jeden cel. Chciała mieć wnuczkę blisko, by móc ją do woli rozpieszczać. Była więc zachwycona, kiedy Grace znalazła świeżo odnowiony dom z pruskiego muru, niecałe półtora kilometra od jej rezydencji. Był dwupiętrowy, odsunięty od ulicy i ocieniony przez wysokie sosny. Grace od pierwszego wejrzenia zakochała się w dębowych posadzkach i otwartej, słonecznej kuchni, wątpiła tylko w sens posiadania pięciu sypialni, dopóki Blake nie przekonał jej, że jakoś znajdą dla nich zastosowanie.

Kupili dom i Grace stanęła przed trudnym zadaniem wypełnienia pustych pokoi. Najpierw chciała to robić po kolei,

ale Delilah zaoferowała jej usługi swojego dekoratora, który miał załatwić wszystko za jednym zamachem.

- Zrób, jak radzi - przekonywała ją Julie w czasie niedzielnego brunchu u teściowej.

Obie leniuchowały na słonecznym tarasie, zerkając na Molly bawiącą się spokojnie w swoim kojcu, podczas gdy panowie oglądali mecz rugby. Delilah i jej przyjaciel oglądali w bibliotece zdjęcia z dawnych lat.

- Dekorator jest dobry. Naprawdę - zapewniła ją jej nowa szwagierka.

Na pewno był. Przez jakiś czas mieszkała przecież w tych wykwintnych wnętrzach. Ale podczas gdy masywne żyrandole i wspaniałe antyki doskonale pasowały do stylu Delilah, Grace żyła w nieustannym lęku, że Molly zaślini którąś z ręcznie wyszywanych, jedwabnych włoskich poduszek.

- Zaufaj mi - namawiała ją Julie. - Ty powiesz, czego oczekujesz, a Victor pomoże ci to osiągnąć. Od razu zrozumiał, że nasze mieszkanie ma być przestronne i nieprzeładowane. Zgodziłam się na prawie wszystko, co zaproponował. Zresztą najlepiej zgódź się na to, co nieuchronne, i zadzwoń do niego. Jeżeli tego nie zrobisz, Delilah po prostu zaprosi go na koktajl i zmusi do przejrzania planów waszego domu, pomieszczenie po pomieszczeniu, przez cały czas pojąc go martini.

- No dobrze, zadzwonię.

Dwie kobiety siedziały przez chwilę w przyjaznym milczeniu. Znały się zaledwie od kilku miesięcy, ale szybko zostały przyjaciółkami. Poślubienie bliźniaków jeszcze tę więź zacieśniło.

Zadzwonił telefon Blake'a i Grace sięgnęła po aparat. Pamiętała, że mąż czekał na wiadomość z Singapuru, jednak numer okazał się miejscowy. Po chwili na wyświetlaczu

pojawia się koperta wiadomości tekstowej. Grace wstała, żeby zanieść telefon Blake'owi.

- Zerknij na Molly, dobrze? - poprosiła Julie.

- Jasne.

Przycisk odtwarzania wcisnęła zupełnie niechcący, wchodząc po schodach. Naprawdę nie miała zamiaru czytać, ale rzut oka na ekran sprawił, że stanęła jak wryta.

„Sprawdziłem Petriego. Zadzwoń do mnie”.

Grace miała wrażenie, że ściany holu zamykają się nad nią. Nie była się w stanie poruszyć, oddychała z ogromnym trudem. Przez udręczony umysł przelatywały jej kolejno wspomnienia różnych wcieleń Jacka Petriego. Gładki i przymilny. Wciąż gładki i szyderczy. Wtedy jeszcze pozwalał Grace odwiedzać swój dom. Swój. Nie Anne albo ich wspólny. Dom był jego, podobnie jak samochód i każdy dolar, skąpo wydzielany żonie.

Grace przeniknęła dawno zapomniana wściekłość i bez namysłu cisnęła telefonem o ścianę. Bracia wybiegli do holu, jeszcze zanim kawałki zdążyły spaść na podłogę.

Alex znalazł się przy niej pierwszy. - Co...?

- Grace! - Obok nich pojawił się Blake. - Dobrze się czujesz?

Nie odpowiedziała. Nie była w stanie. Furia wciąż dławiła ją za gardło.

- Czy coś się stało Molly? - Chwycił ją za ramię. - Alex, biegnij do Julie i małej.

Zanim zdążył skończyć, brat już pędził korytarzem.

- Grace! Odezwij się do mnie. Powiedz, co się stało.

- Dostałeś wiadomość. To się stało. - Jak to?

Wskazała rozbity telefon, ale on tylko zmarszczył brwi, nie rozumiejąc.

- SMS. Niechcący go otworzyłam. Nie miałam zamiaru czytać.

- O czym ty mówisz? Jaka wiadomość? Od kogo?
- Chyba od twojego kumpla. Jak on się nazywa? James?
- Jamison.
- Tak. Chce, żebyś do niego zadzwonił. W sprawie wiadomości o Petriem.
- Do diabła.

Wszystko było jasne. Odwróciła się na pięcie i przemknęła korytarzem, omal nie wpadając na wychodzącą z biblioteki parę. W innych okolicznościach na pewno rozbawiłby ją widok szminki Delilah na wargach jej towarzysza. Teraz jednak, kiedy teściowa spytała, co się dzieje, usłyszała tylko:

- Zapytaj swojego syna.

Minęła ich pospiesznie, żałując, że nie ma przy sobie kluczyków do swojego nowego jaguara, którego kupił jej Blake. Chciała zostać sama i zastanowić się spokojnie. Ale kluczyki były na górze, w apartamencie gościnnym. Przeklinając pod nosem, wbiegła na schody.

Do miotających nią uczuć doszło jeszcze poczucie bycia zdradzoną. Sięgnęła po kluczyki, ogarnęła pokój niewidzącym spojrzeniem i odwróciła się do wyjścia.

- Wybierasz się dokądś? - W drzwiach pojawił się Blake.
- Miałam taki zamiar. - Obrzuciła go złym spojrzeniem.
- Mogę zapytać dokąd?
- Uwierzyłam ci! - rzuciła mu prosto w twarz. - Powiedziałeś, że możesz żyć, nie znając sekretu Anne, i naprawdę ci uwierzyłam!

- Przecież z tym żyję.
- Właśnie widzę!

Nadal nie okazywał zdenerwowania. Odwrócił się tylko i zamknął drzwi, a potem znów stanął twarzą do niej.

- Skoro nie chciałaś powiedzieć mi prawdy...
- Nie mogłam! Niektórzy - powiedziała zjadliwie - dotrzymują danych obietnic.

- Okej, skoro nie mogłaś powiedzieć mi prawdy - poprawił - Jamison zaczął szukać. Wiem, że naprawdę nazywała się Hope Templeton.

Świadomość, że także i on ledwo trzyma emocje na wodzy, trochę zmniejszyła jej złość. Ale poczucie zdrady pozostało.

- To była moja jedyna kuzynka. Długo wam zeszło z odkryciem jej prawdziwego imienia.

- Wiem też, że wyszła za mąż w wieku siedemnastu lat.

- Skąd wiesz? Przecież...

- Wymazałyście dane? Nie muszę ci chyba przypominać, że to przestępstwo.

Teraz zachowywał się jak prawnik. Ostatkiem sił powstrzymała wybuch i usiadła na łóżku.

- Mów dalej.

- Jedyne, czego Jamison nie znalazł, była informacja o rozwodzie. Mogę tylko przypuszczać, że kiedy się spotkaliśmy, Anne wciąż była mężatką. I mogę się domyślać, że to nie było udane małżeństwo.

- Jak na to wpadłeś? - Nie mogła sobie odmówić tej niepotrzebnej uszczypliwości.

W odpowiedzi tylko wzruszył ramionami.

- Skoro go opuściła... I przybrała inne nazwisko, zapewne po to, żeby jej nie odnalazł.

Grace mogłaby dodać jeszcze sporo do tej listy. Jak choćby niechęć Anne do miejsc publicznych, jej nieustanna obawa, że wypatrzy ją Petrie czy ktoś z jego znajomych. Zadeklarowany brak zaufania do mężczyzn w ogóle, poza tym jednym. Nagłe zniknięcie z życia Blake'a, choć przecież musiała go kochać.

- Kazałem Jamisonowi sprawdzić jej męża - powiedział, przerywając jej smutne wspomnienia. Podobno Jack Petrie jest zasłużonym policjantem, z dwiema pochwałami za narażanie



życia na służbie. Raz wyciągnął jakiegoś mężczyznę i jego syna z płonącego samochodu. Innym razem złapał przemytnika narkotyków, który zastrzelił policjanta podczas rutynowej kontroli drogowej.

- Nie kontaktowałeś się z nim, mam nadzieję? - spytała przerażona taką perspektywą.

- Nie. Jamison też nie. Ale przeprowadziliśmy dyskretne śledztwo.

Wstrzymała oddech.

- I?

- Jamison odniósł wrażenie, że Petrie był oddanym mężem, który chciał się pokazać przed swoją młodą żoną. Podobno był zdruzgotany, kiedy go zostawiła.

Czekał, aż zaprzeczy, a skoro tego nie zrobiła, przeszedł do najważniejszego.

- Pozostaje Molly.

- Ona jest twoim dzieckiem, Blake! - wykrzyknęła z pasją. - Nie Petriego!

- Wiem. Poza badaniem DNA, Jamison potwierdził, że Anne opuściła męża rok przed naszym spotkaniem. Ale w momencie urodzenia Molly wciąż byli małżeństwem i w świetle prawa...

- Do diabła z prawem! Zrobiłeś badanie DNA. Nawet gdyby doszło do rozprawy, to dosyć, by udowodnić twoje ojcostwo. - Wstała i powiedziała błagalnie: - Ale nie musi do tego dojść. Anne nie żyje, a Petrie nie ma pojęcia o istnieniu dziecka. Zostawmy to tak, jak jest.

- Czego ty się tak boisz, Grace? Czego bała się Anne? Czy Petrie ją bił? Stosował przemoc?

- Ja...

- Powiedz mi, na miłość boską!

Omal nie uległa. Jakże chętnie wyznałaby mu wszystko, ale to oznaczałoby złamanie obietnicy. Mogła powiedzieć tylko jedno.

- Nie chodziło o przemoc fizyczną. Przynajmniej z tego, co wiem. Ale znęcanie się psychiczne może być jeszcze gorsze.

- Jeszcze jeden powód, by chronić Molly przed tym łajdakiem.

Wiedziała, że ma mnóstwo znajomych i możliwości prawnych. I wiedziała także, że gdyby Jack Petrie dowiedział się o jego romansie z Anne, mściłby się bezwzględnie. Ten człowiek był urodzonym sadystą. Zniszczył własną żonę chorym uczuciem, które inni brali za oddanie. Anne była już poza jego zasięgiem, ale nie jej córka. Ani kochanek.

- Właśnie - powiedziała. - Myślisz, że mąż Anne nie chciałby się mścić? Wyciągnie od ciebie miliony. Latami będzie cię ciągał po sądach. Pomyślałeś o tym?

- Oczywiście. Nie boję się walki w żadnej formie.

- Lepiej odłóż uczucia na bok i pomyśl o tym, co taka zawzięta walka sądowa może oznaczać dla Molly. Kiedy będzie starsza, zechce dowiedzieć się czegoś o matce. I wystarczy, że zajrzy do internetu, a znajdzie tam wszelkie możliwe brudy na jej i twój temat.

- Mogę to sobie wyobrazić.

Tak, i wcale mu się to nie podobało.

- Proszę cię, daj sobie z tym spokój. Za rok, dwa wszyscy uznają Molly za nasze dziecko. Petrie nie będzie miał podstaw, żeby to kwestionować.

Wyglądał, jakby właśnie dostał cios w żołądek.

- Chcesz żyć w kłamstwie. Tak jak twoja kuzynka. Dla dobra Molly mogła dać tylko jedną odpowiedź. - Tak.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Jednak nie potrafi mi zaufać. Blake i jego brat wcześniej tego wieczoru odbyli trudne spotkanie z przedstawicielami wyższego szczebla Nippon Steel, a potem zabrali japońskich gości do najlepszej w mieście restauracji z befsztykami. Kiedy limuzyna odwiozła usatysfakcjonowanych dyrektorów do hotelu, Blake i Alex zostali, żeby pogadać w męskim towarzystwie nad piwem i orzeszkami, zanim wrócą do swoich żon.

Pomimo trudnych negocjacji umysł Blake'a dużo bardziej od Japończyków zajmowała Grace.

- Rozumiem, że obiecała Anne dotrzymać sekretu. - Blake wyciągnął długie nogi pod blatem stolika zaśmieconego skorupkami po orzeszkach. - Szanuję jej lojalność, ale jesteśmy małżeństwem już od miesiąca. Dlaczego wciąż tak we mnie nie wierzy?

Alex tylko wzruszył ramionami. Wałkowali ten temat już nie pierwszy raz.

- Ona zna Petriego, my nie.

- Wiemy o nim wystarczająco dużo. Terroryzował Anne i zastraszał ją. A teraz robi to samo mojej żonie.

Frustracja zżerała go wewnątrz, podkopywała też jego dumę. Szarpnął węzeł krawata i odpiął górny guzik koszuli, zanim pociągnął długi łyk piwa.

- Mama mówi, że Grace jak ognia unika fotografowania, a ja zauważyłem to samo, kiedy idziemy na koncert czy jakieś oficjalne spotkanie.

- Ty też nigdy nie przepadałeś za przebywaniem w świetle reflektorów.

- Wcale mi nie pomagasz.

Skorupki zachręściły, kiedy Alex oparł łokcie na stoliku.

- Mówię ci, co myślę.

- Tak, wiem. Uważasz, że powinienem pojechać do San Antonio i spotkać się z tym facetem? Uświadomić mu, z kim ma do czynienia, na wypadek gdyby miał jakieś cwane pomysły?

- Poprawka. Uważam, że powinniśmy tam pojechać obaj.

- To moja sprawa i załatwię ją sam.

- Już odwaliłeś niezły kawał roboty, a Jamison pilnuje Petriego.

- Dostaję regularne raporty.

- Grace o tym wie?

- Wie.

Zresztą pokłócili się o to. Grace usiłowała mu wytłumaczyć, że Petrie jest policjantem. Prędzej czy później zorientuje się, że jest obserwowany i poweźmie podejrzenia. Blake z kolei zapewniał, że Jamison i jego współpracownik są zawodowcami, a on w żadnym razie nie zamierza lekceważyć potencjalnego zagrożenia.

Grace ustąpiła, wprawdzie niechętnie, ale ustąpiła. A i tak fakt, że wciąż żyli pod groźbą ze strony tego typa, doprowadzał Blake'a do szału. Przyrzekł żonie, że się z nim nie spotka, nie omówiwszy tego wcześniej z nią. Ale do tego było już bardzo blisko. Póki co, oboje udawali, że każde rozumie i uznaje punkt widzenia partnera.

- Rozumiem, że Grace zna z pierwszej ręki piekło, jakie Petrie urządził jej kuzynce. - Alex spróbował ugryźć problem z drugiej strony, - Nie rozumiem tylko, dlaczego ona nie chce go dorwać. Nie znałem Anne zbyt dobrze, ale znam Grace. Na moje oko to ona jest tą silniejszą.

- Silniejszą i o niebo bardziej upartą - skrzywił się Blake.

- Ma wsparcie nas wszystkich. Matki, Julie i Dusty'ego też.

Blake uśmiechnął się i uniósł kpiarsko brew.

- Właśnie, co z nim? Widuję go u mamy już niemal codziennie.

- Doradza mu - odparł Alex śmiertelnie poważnie. - Jako partner biznesowy Julie i współwłaściciel filii DI, Dusty woli rozmawiać z kimś, kto pracował na tych samych szlakach naftowych co on.

- No! Nie, nie powiem ci, co mi właśnie przyszło do głowy. - Blake uniósł kufel. - Wypijmy za nich.

Stuknęli się z uśmiechem i wypili. Blake skinął na kelnera i zamówił dwa następne piwa, zanim powrócili do głównego tematu.

- Co do Grace, musi wiedzieć, że może na nas liczyć. Będziemy ją chronić przed tym dupkiem Petriem.

- Ona o tym wie - odparł Blake. - Problem w tym, że ona chce ochronić nas. A przynajmniej Molly i mnie. - Zakręcił kuflem po blacie stolika, zrzucając skorupki orzeszków na już i tak zaśmieconą podłogę.

- Jak długo zamierzasz grać według jej reguł? - chciał wiedzieć Alex.

- Wszystko się zmieni, jeżeli poczuję choćby cień realnego zagrożenia.

Grace była w kuchni, kiedy usłyszała charakterystyczny szmer podnoszonych drzwi garażowych. Położyła Molly spać o wpół do ósmej i pozwoliła sobie na godzinną kąpiel w pachnących olejkach, przywołując wspomnienie gorącego słońca Prowansji i bezkresnych pól lawendy. Potem bosa, ubrana w wygodną, za obszerną koszulkę, usiadła na blacie z biografią Van Gogha i dużą miską lodów czekoladowych. Po wielu latach w szkole, kiedy wciąż brakowało jej czasu dla siebie, szczególnie ceniła sobie takie chwile i wolność wyboru, jaka obecnie stała się jej udziałem.

Jej życie było niemal doskonałe. Tak dni, jak i noce. Sprawę przeszłości Anne odłożyła już ad acta. Pozbyła się

poczucia bycia zdradzoną i postarała się zrozumieć i zaakceptować podejście Blake'a, choć nie do końca się z nim zgadzała. Pomimo to wciąż znajdowali przyjemność we wzajemnym odkrywaniu siebie, a, co więcej, łączyła ich ogromna radość związana z obecnością Molly w ich życiu. I serce Grace wciąż zaczynało bić mocniej, kiedy jej mąż pojawiał się w pobliżu.

Tak jak teraz. Z krawatem zwisającym z kieszeni marynarki wyglądał jeszcze bardziej seksownie niż zwykle.

- Nakarmiliście i napoiliście waszych japońskich gości? - spytała lekko.

- Owszem.

Objął ją i przytulił, a jego dłonie, ciepłe i mocne, dawały jej siłę. Uniósł kciukiem jej brodę i pocałował ją w sposób, który tylko pobudził jej głód. Zerknął przy tym ciekawie na miskę z lodami.

- Wygląda smakowicie.

- Usiądź, to ci przyniosę.

- Wolałbym, żebyś się ze mną podzieliła.

- Mmm... - Zmarszczyła brwi. - Zazwyczaj nie dzielę się lodami. Ani frytkami.

- Zapamiętam. Ale chyba jakieś wyjątki są dopuszczalne?

- No dobrze już, weź sobie.

Nabrał pełną łyżkę, narażając się na natychmiastowe ostrzeżenie:

- Mózg ci zamarznie, jak będziesz się tak obżerał.

- Żadna część mnie nie byłaby w stanie tak zamarznąć - odparł z prowokującym uśmiechem.

Przysunął się bliżej, przyciskając ją do blatu, na którym wcześniej siedziała.

- Rozumiem, co masz na myśli. Żadnego niebezpieczeństwa zamarzenia tam w szczególności.

Kiedy ją pieścił, przez moment miała dziwne wrażenie. Jakby chciał nad nią zapanować, ale postanowił się powstrzymać. Zresztą wrażenie było mgliste, a w tamtej chwili nie była zdolna do racjonalnego myślenia.

Potem, kiedy zaniósł ją do sypialni, jego zwykła delikatność i czułość zupełnie wymazały z pamięci tamto dziwne wrażenie.

Przypomniała sobie o nim niecały tydzień później.

Poddając się niezłomnej woli teściowej, zapakowała Molly do fotelika i zawiozła ją do Nichols Hill na spotkanie z babcią. Sama zamierzała kupić sobie sukienkę koktajlową na dobroczynną imprezę, w której na życzenie Delilah mieli uczestniczyć obaj jej synowie z żonami.

- Naprawdę nie chcę tam iść - zwierzyła się córeczce we wstecznym lusterku.

Wpatrzona w dziecko, nie zauważyła dużej terenówki na końcu podjazdu. Oba auta minęły się zbyt blisko, co solidnie przestraszyło Grace. W dodatku krótka wizyta u Delilah wcale nie ukoila jej dziwnie napiętych nerwów.

- Powinnaś zadbać o paznokcie - przypomniała jej teściowa. - I o włosy.

- Aż tak źle wyglądam?

- Wyglądasz doskonale i świetnie o tym wiesz. - Delilah posadziła sobie dziecko na biodrze. - Ale nie tak kwitnąco jak po powrocie z Prowansji. Nie mów mi tylko, że nie uprawiacie już seksu.

- Nie powiem - odparła Grace chłodno.

- Nie traktuj mnie protekcjonalnie, dziewczyno. Skoro nie chodzi o seks, to na pewno o tę sprawę z Jamisonem. Nie lubię się mieszać do życia moich synów, ale...

Zerknęła na powątpiewającą minę Grace.

- Okej, uwielbiam się wtrącać. Ale myślałam, że w tej kwestii doszłście już do porozumienia.

- Bo doszliśmy. Mniej więcej.

Starsza pani pozwoliła Molly bawić się swoją bransoletką z szafirów i brylantów.

- Powiem to tylko raz i więcej o tym nie wspomnę. Przysięgam.

Grace wierzyła w to tak samo jak i w to, że jej teściowa przestanie się wtrącać w życie swoich synów. Kiedy Delilah już chwyciła kęs między zęby, nigdy go nie wypuszczała.

- Dobrze zrobiłaś, dotrzymując obietnicy danej kuzynce - powiedziała - ale ona już nie żyje, a ty jesteś mężatką. Musisz zdecydować, wobec kogo powinnaś być teraz lojalna.

Grace zeszywniała, jej oczy rzucały niebezpieczne błyski.

- Idź już - rozkazała Delilah, zanim zdążyła się odezwać. - Zrób zakupy, zadbaj o paznokcie i przemyśl to, co powiedziałam.

Grace gotowała się ze złości przez całą drogę do eleganckiego butiku, który razem z Julie odkryły kilka miesięcy wcześniej. Zaparkowała kawałek za sklepem, zgasiła silnik i przez jakiś czas siedziała z dłońmi zaciśniętymi na kierownicy.

Nie potrzebowała nauk Delilah o lojalności. Spędziła pół życia i wydała większość swoich oszczędności, chroniąc Anne przed okrutnym mężem. Wystarczyło, by zamknęła oczy, a widziała kuzynkę walczącą desperacko o swój ostatni oddech, słyszała jej rwący się głos, błagający ją, by zabrała Molly do ojca i nigdy nie pozwoliła, by Jack się o niej dowiedział.

Ścisnęła kierownicę, aż pobiełały jej kostki, i przez przednią szybę patrzyła na sklep przed sobą. Wystawa była pusta poza kartką „do wynajęcia”, ale Grace nie zauważyła ani tej pustki, ani ciemnego wnętrza.

A może...



Może nawyk chronienia kuzynki zbyt mocno się w niej zakorzenił? Może powinna wyrzucić z siebie lęki Anne i zaufać Blake'owi? Wiedziała przecież, jak doskonale potrafił sobie radzić w trudnych sytuacjach i jaki jest inteligentny. Mógł też uruchomić siły chyba nawet potężniejsze niż te, którymi dysponował Jack Petrie. A co najważniejsze, był ojcem Molly. Każdego, kto próbowałby jej zaszkodzić, rozdarłby na strzępy.

Znużona, oparła głowę na kierownicy. Sercem i duszą pragnęła dotrzymać złożonej Anne obietnicy. Ale nie mogła. Już nie. Delilah miała rację. Anne odeszła, a jej życiem byli teraz Blake i Molly.

W myślach poprosiła kuzynkę o zrozumienie i sięgnęła po telefon. Asystentka Blake'a odpowiedziała niemal natychmiast.

- Biuro Blake'a Daltona.
- Cześć, Patrice, tu Grace. Możesz poprosić Blake'a?
- Cześć, Grace. Niestety, ma telekonferencję. Mam mu przerwać?
- Chciałam mu tylko powiedzieć, że myślałam o mojej kuzynce...

No nie, nie mogła przecież opowiadać o swoich rozterkach przez telefon.

- Nie, powiedz tylko, że dzwoniłam.
- W porządku.
- Dzięki.

Rozłączyła się, czując się jak Juliusz Cezar po przekroczeniu Rubikonu. Już nie było odwrotu. Zresztą nawet nie chciałyby tego. Czas wreszcie pozbyć się koszmaru w postaci Jacka Petriego i zacząć normalne życie z Blakiem i Molly u boku.

Wciąż jeszcze delectowała się podjętą decyzją, kiedy jakiś czas później wychodziła z butików Helen Jasper. Jak zwykle

właścicielka potrafiła idealnie utrafić w jej gust. Kupiła kilka rzeczy młodej projektantki z Oklahomy, która z pewnością zrobi światową karierę. Poza prześliczną sukienką koktajlową wzięła też dwa zdobione koralikami topy i parę seksownych spodni.

Uśmiechając się na myśl o reakcji Blake'a na sukienkę bez pleców, a właściwie prawie także i bez przodu, przełożyła torby z zakupami do jednej ręki

i sięgnęła po kluczyki. Wrzuciła torebkę na przednie siedzenie i zamierzała położyć tam także i zakupy, kiedy nagle obok pojawiła się czarna terenówka. Kretyn kierowca skręcił tak ostro, że musiała gwałtownie zatrzęsnać drzwi, żeby ich nie zarysował.

Kiedy pochyliła się, żeby uporządkować rzucone torby, kątem oka dostrzegła kierowcę terenówki. Wsiadł z samochodu, ale nadal przy nim stał.

Coś ją nagle zaniepokoiło. Zaparkował tak blisko jej jaguara. Zbyt blisko. Z kilkunastu porad dotyczących samoobrony, które przemknęły jej przez myśl, mogła zrobić tylko jedno. Ścisnęła w dłoni kluczyki od samochodu ostrym na zewnątrz i zaczęła się odwracać. Zrobiła może pół okrążenia, kiedy coś twardego uderzyło ją w ramię i świat skryła czerwona mgła.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

- Nie odbiera telefonu. Blake długimi krokami przemierzał gabinet brata na dwudziestym piętrze DI. Tym razem wspaniały widok nie robił na nim wrażenia. Z dłońmi wciśniętymi w kieszenie spodni zrobił jeszcze kilka niespokojnych kroków.

- Zostawiłem trzy wiadomości głosowe. Pierwszą o dziesiątej trzydzieści, ostatnią pół godziny temu.

Chociaż było dopiero kilka minut po drugiej, Alex rozumiał niepokój brata. Sam przeżywał katusze, kiedy Julie wyjechała i przez kilka godzin nie mógł się z nią skontaktować, bo padł jej telefon. Może coś się stało z aparatem Grace?

Blake potrząsnął głową.

- Sam naładowałem oba nasze telefony dziś rano.

- Mama nie wie, dokąd pojechała?

- Tylko tyle, że miała kupić sukienkę, ewentualnie pójść do fryzjera.

- To już coś. - Alex sięgnął po telefon. - Zadzwonię do Julie. Zdaje się, że mają jakiś ulubiony butik.

Na szczęście dodzwonił się od razu i w kilku słowach wyjaśnił jej sytuację. Podała mu kilka numerów i wymogła obietnicę, że zadzwoni, jak tylko znajdą Grace.

- Ten jest najbardziej prawdopodobny. - Alex wybrał pierwszy numer. - Dzień dobry, pani Jasper. Tu Alex Dalton. - Słuchał przez chwilę i uśmiechnął się. - Bardzo mi przyjemnie, mojemu bratu także. Właśnie dlatego do pani dzwonic. Próbujemy skontaktować się z Grace, ale jej telefon nie odpowiada. Julie dała nam pani numer. Ach, tak? Już była? - Zerknął na Blake'a. - Bardzo pani dziękuję.

Alex pospiesznie wyjaśnił bratu, czego się dowiedział. Grace zrobiła duże zakupy i opuściła butik tuż przed dwunastą.

- Może wstąpiła gdzieś na lunch?  
- Może. Ale nie wyobrażam sobie, żeby nie zadzwoniła zapytać o Molly.

- Sprawdźmy tego fryzjera. Zdaniem Julie poszłaby do...

Alex przerwał, kiedy drzwi jego gabinetu otworzyły się z rozmachem i pojawiła się w nich Delilah, popychająca wózek z Molly. Jak zawsze, bez uprzedzenia.

Zatrzymała wózek przed Blakiem.

- Twoja asystentka powiedziała, że jesteś tutaj. Na jego widok Molly radośnie wyciągnęła rączki.

- Tata!

Blake wyjął ją z wózka i przytulił mocno, a ona obdarzyła go mokrym całusem. Jak zwykle, pachniała fascynująco. Dziś była to mieszanka talku, brzoskwiń i jeszcze czegoś, czego nie umiał zidentyfikować.

- Rozmawialiście z Grace? - spytała Delilah.

- Nie, ale wiemy, że wyszła ze swojego ulubionego butiku przed dwunastą.

- Myślałem, że poszła na lunch w mieście - zasugerował Alex.

- Niemożliwe - zaprotestowała Delilah. - Zadzwoniłaby do mnie zapytać o Molly.

Blake'a przeszły ciarki. Matka właśnie potwierdziła jego własne przekonanie.

- Patricia mówi, że Grace wcześniej zostawiła ci wiadomość - kontynuowała Delilah. - Nie wspomniała o planach na popołudnie?

- Chciała tylko, żebym do niej zadzwonił.

- To wszystko?

- Nie - odparł przez zaciśnięte zęby. - Jak nie odpowiedziała na mój drugi telefon, przepytalem Patricię. Podobno Grave wspomniała coś, że chciała rozmawiać o

swojej kuzynce, ale zmieniła zdanie i prosiła tylko, żebym do niej zadzwonił.

- O kuzynce?

Nie mógł nie zauważyć nagłego poczucia winy w oczach Delilah.

- Wiesz coś, o czym ja nie wiem?

Z nagłym przeczuciem nieszczęścia Blake podał Molly bratu i twardo spojrział na matkę.

- Powiedz mi, co zrobiłaś.

- Niczego nie zrobiłam - bąknęła. - Zasugerowałam jej tylko, że powinna się zastanowić, komu jest winna lojalność: zmarłej kuzynce czy żyjącej rodzinie.

- Do diabła! Mówiłem, żebyś się nie wtrącała.

- Sam wychowujesz córkę i musisz wiedzieć, że bycie rodzicem daje prawo wtrącania się, kiedy to konieczne.

Wściekły, odwrócił się na pięcie. Dobrze wiedział, że Grace wciąż się z tym borykała. Podobnie zresztą jak on. Czy dlatego nie odpowiadała na jego telefony, że miała dość nieustannego napięcia? Czy potrzebowała czasu tylko dla siebie, z daleka od nich wszystkich? Czy mogła po prostu zniknąć? Odejść z jego życia, tak jak zrobiła to Anne?

Niemożliwe, nie zrobiłaby mu tego. Grace zawsze grała fair. Sprzeczali się o tę kwestię, to prawda, ale wiedziała, jak bardzo ją kocha...

Czy aby na pewno? Czy kiedykolwiek jej o tym powiedział? Może nie, ale chyba pokazał, co do niej czuje?

Cóż, teraz mógł zrobić tylko jedno. Sięgnął po telefon i wybrał numer Jamisona.

- Tu Blake Dalton - powiedział. - Potrzebuję najnowszych danych na temat Jacka Petriego.

- Dostałem raport pół godziny temu. Zaraz ci go prześlę.

- Powiedz z grubsza, o co chodzi.

- Elektroniczny nadzór domu Petriego zarejestrował jego powrót wczoraj po południu. Mój partner sprawdził, że Petrie i jego wspólnik zeznawali rano w sądzie. Podobno źle się czuł i wziął wolne na resztę dnia. Dziś rano zadzwonił, że jest chory i ma wizytę u lekarza. Obserwator widział, jak opuszczał dom w cywilnym ubraniu kwadrans po szóstej.

Blake zmarszczył brwi.

- Trochę wcześniej jak na wizytę u lekarza.
- Też tak pomyślałem i kazałem chłopakowi pogrzebać.
- Czekaj... mówiłeś, że wczoraj rano zeznawał w sądzie.
- Tak, sprawa o narkotyki...
- Powiedz mi tylko, w którym sądzie.
- Hrabstwa Bexar, siedemdziesiąty trzeci dystrykt.

Przewodniczył sędzia Honeywell.

To mogło nic nie znaczyć. Honeywell prowadził co tydzień dziesiątki spraw. Ale podejrzenie, że Petrie usłyszał od sędziego coś o Grace, przeraziło Blake'a śmiertelnie.

- Zadzwon do swojego wspólnika w San Antonio. Niech zaangażuje w tę sprawę wszystkie siły. Chcę znać każdy krok Petriego.

- Załatwione.

Odłożył słuchawkę i miał właśnie poinformować innych, czego się dowiedział, kiedy rozległ się brzęczyk interkomu. Może to wiadomość od Grace? Błysk nadziei zgasł niemal od razu na widok zmarszczonych brwi brata.

- Odbiorę - powiedział Alex i przedstawił się. - Alex Dalton. - Słuchał przez chwilę i zakończył rozmowę. - Tak jest. Bardzo dziękuję za telefon.

- Co? - Chciał wiedzieć Blake, jeszcze zanim Alex odłożył słuchawkę.

- To była Helen Jasper, właścicielka butiku. Kiedy wychodziła na lunch, zobaczyła samochód Grace zaparkowany kilkadziesiąt metrów od butiku. Zajrzała przez

okno. Torby z zakupami wyglądają, jakby spadły z przedniego siedzenia. Razem z nimi leży torebka Grace.

Delilah zabrała Molly do siebie, a jej synowie byli już w drodze do miasta. Alex pilotował, a Blake prowadził. Maksymalnie skupiony, próbował wyobrazić sobie powody, dla których Grace miała zostawić jaguara pod butikiem na tak długo. Jakikolwiek by one były, żaden nie wyjaśniał pozostawienia torebki wewnątrz, na widoku, gdzie ktoś mógł się poślakomić na portfel i karty kredytowe.

- Jest butik - powiedział Alex. - I jaguar Grace. Blake już sięgał po zapasowy kluczyk, kiedy brat go powstrzymał.

- Mogą tam być odciski palców albo inne ślady. Na przykład krew. Nie powiedział tego. Nie musiał.

- Jeździłem tym samochodem dziesiątki razy. Moje odciski, włókna z ubrania i DNA są wszędzie. Ale będę uważał.

Jak się okazało, drzwi nie były zamknięte. Dziecinny fotelik był pusty, z tyłu leżało tylko kilka zabawek Molly. Przednie siedzenie zajmowała sterta toreb z zakupami.

Część spadła na podłogę. Między nimi leżała torebka Grace z telefonem doskonale widocznym w bocznej kieszonce.

Blake obszedł samochód, żeby zajrzeć do bagażnika i odetchnął z ulgą, kiedy okazał się pusty. Alex w przyjacielskim milczeniu klepnął go w ramię. Obaj wyobrażali sobie najgorsze, ulga była tylko chwilowa.

- Dzwonię do Harkinsa - powiedział Alex krótko.

Phil Harkins był szefem policji i wieloletnim przyjacielem rodziny. Alex wyciągnął telefon, ale Blake przytrzymał mu rękę.

- Zaczekaj.

Głęboko pod klapą bagażnika leżała złożona kartka papieru, której wcześniej nie zauważył. Wiadomość napisano czarnymi drukowanymi literami.

„Odebrałeś mi żonę, teraz ja biorę twoją. Jeżeli chcesz jeszcze zobaczyć tę sukę żywą, nie zawiadamiaj policji. Bogaty kutas jak ty znajdzie nas bez trudu. Czekamy na ciebie”.

Zaklął i podał kartkę Aleksowi. W tej chwili zadzwonił jego telefon. Jamison.

- Co masz?

- Petrie wyleciał z San Antonio do Oklahoma City o siódmej dziesiątej. Wylądował o ósmej dwadzieścia, wynajął u Hertza czarnego chevy traverse'a o numerze 632DH8.

- Czy ten wóz ma system zapisu trasy?

- Ma, ale Hertz odmawia dostępu do tych danych.

- Zajmę się tym.

Przejrzał swoje kontakty i zadzwonił do Phila Harkinsa, który szczęśliwie był w swoim biurze.

- Cześć, chłopie - odezwał się przyjaźnie. - Jak leci?

- Potrzebuję przysługi, Phil. Szybko i bez żadnych pytań.

- Wał śmiało.

Dziesiąt szarpiących nerwy minut później Harkins oddzwonił.

- Mam te dane. Prosto z lotniska przyjechał w twoją okolicę. Przejechał twoją ulicą. Nie zatrzymał się, tylko o dziewiątej pięćdziesiąt cztery zakręcił i pojechał do Nichols Hill.

Musiał śledzić Grace. Blake był o tym przekonany.

- Stał przed domem twojej matki przez osiemnaście minut, a potem pojechał tam, gdzie teraz jesteś, i był tam przez prawie dwie godziny.

Obserwował butik i czekał na Grace.

- Czy twoi ludzie wiedzą, gdzie jest teraz?



- Jedzie na północ międzystanową I - 35, w tej chwili jest cztery kilometry od granicy stanu Teksas. Nie wiem, co dalej, ale mogę poprosić, żeby go zatrzymali.

Blake nie mógł ryzykować. Petrie pracował w teksaskiej policji, mógł mieć ze sobą radio i nasłuchiwać na policyjnej częstotliwości.

- Nie zawiadamiaj ich, tylko go śledź i daj mi znać, jak skręci z międzystanowej. - Zerknął na brata. - Będziemy w powietrzu.

Zanim Blake zdążył się rozłączyć, Alex już rozmawiał z szefem operacji powietrznych firmy.

- Zatankujcie skylane'a do pełna - zadysponował. - Będziemy za kwadrans.

Blake nie kwestionował wyboru brata. Skylane mógł wylądować choćby na pastwisku.

Niecałe pół godziny później byli już w powietrzu. Alex ustawił maksymalną szybkość i dokonał szybkich obliczeń.

- Powinniśmy ich złapać pomiędzy Austin i San Antonio, jeżeli to tam jedzie.

Blake pokiwał głową. Oczu, chronionych przed bezpośrednim blaskiem słonecznym okularami przeciwsłonecznymi, nie odrywał od betonowej wstęgi autostrady międzystanowej, wijącej się pomiędzy pasmami wzgórz i wielobarwną szachownicą pól.

Gdzieś tam, w dole, był Petrie w czarnym chevy traversie, niemal dwie godziny drogi przed nimi. Blake mógł się tylko modlić, by dotrzymał swojej części umowy i miał ze sobą Grace żywą.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Grace telepało po siedzeniu, kiedy terenówka podskakiwała na wybojach. Ręce skute za plecami bolały ją tak bardzo, że odkąd odzyskała świadomość, przeżywała istne tortury.

Odwróciła twarz do okna, starając się dostrzec jakikolwiek charakterystyczny punkt krajobrazu, ale widziała tylko nieprzeniknioną gęstwinę karłowatych dębów. Zdecydowana nie poddać się rozpacz, zmusiła się, by spytać zimno:

- Dokąd jedziemy?

Kierowca oderwał wzrok od zakurzonej drogi i rzucił jej we wstecznym lusterku wrogie spojrzenie.

- Już ci mówiłem. Dowiesz się, jak będziemy na miejscu. Chyba że chcesz porozmawiać o tym bogatym łajdaku, który spał z moją żoną...

Grace zacisnęła zęby.

- W porządku, kuzynko. Już niedługo wszystko wyśpiewasz. A teraz lepiej się zamknij. Nie chcę przegapić skrętu.

Tak było, odkąd odzyskała przytomność, otepiała, targana nudnościami i obolała. Nie chciał jej powiedzieć, jak ją znalazł, i nie reagował na jej protesty, że nie może jej tak po prostu porwać z ulicy.

Zdawała sobie sprawę, że wcale nie chodziło mu tylko o porwanie. Był zbyt doświadczonym policjantem, żeby zostawić żywą ofiarę, która świadczyłaby przeciwko niemu. Poza tym zamierzał jej użyć jako przynęty, by dostać Blake'a.

A przecież tak bardzo starała się być ostrożna. Jak zdołał odkryć powiązanie pomiędzy Anne a Blakiem? Nie, musiała wciąż myśleć o swojej kuzynce jako o Hope i tym imieniem ją określać, jeżeli nie chciała doprowadzić Petriego do bezrozumnego szału.

Dziesięć minut później między drzewami mignęła jej woda. Jeszcze pięć minut; samochód bardzo zwolnił i skręcił w zarośniętą drózkę. Nie miała pojęcia, jak ją wypatrzył. Nie było żadnego oznakowania, skrzynki pocztowej ani choćby szmatki przywiązanej do drzewa, tylko zapadnięte koleiny między zaroślami.

Kolczaste gałęzie drapały lakier do żywego, a kiedy samochód szarpał w koleinach, ból w wykręconych ramionach stał się nieznośny. Omal nie rozplakała się z ulgi, kiedy w końcu wyjechali na gładką polanę, schodzącą nad spore jezioro.

Na końcu nachylenia, nad linią wody, stała kryta cedrowym gontem chata. Ganek podtrzymywały pustaki, a inne kolumny pustaków podpierały także ocieniający go daszek. Na przeciwnym brzegu jeziora dostrzegła jeszcze dwie lub trzy podobne budowle. Wszystkie sprawiały wrażenie zamkniętych na głucho.

Petrie zjechał na bok, zgasił silnik, wysiadł i wyciągnął coś z za swojego siedzenia. Skórzany pokrowiec z bronią myśliwską. Widziała kiedyś, jak czyścił ją u siebie w kuchni. To, co zobaczyła, śmiertelnie ją przeraziło. Była przekonana, że chodzi mu o Blake'a, który będzie jej szukał. A kiedy odnajdzie, trafi prosto pod lufy broni Petriego.

Tymczasem Petrie oparł strzelbę o błotnik i z bocznej kieszeni w drzwiach samochodu wyjął półautomatyczny pistolet. To nie była jego broń służbowa. Grace wystarczająco często widywała jego czarną kaburę i SIG - Sauera, by go rozpoznać. To musiało być coś skonfiskowanego podczas akcji czy też kontroli, co jakimś trafem nigdy nie trafiło do ewidencji. Coś nie do wytropienia. Petrie starannie sprawdził magazynek, włożył go na miejsce i zabezpieczył.

Z taką samą chłodną precyzją umieścił pistolet za pasem dżinsów i podniósł skórzany pokrowiec. Serce Grace zabiło

niespokojnie, kiedy otworzył drzwi od jej strony i odpiął jej pas.

- Idziemy.

Wziął ją pod ramię i wyciągnął na zewnątrz, przyprawiając o palący ból w skutych ramionach. Zebrała całą siłę woli, żeby nie jęczeć, kiedy włókł ją do chaty. Najwyraźniej znał to miejsce i wiedział, gdzie znaleźć klucz.

Wnętrze było duszne i śmierdziało starymi, wilgotnymi kocami i sprzętem wędkarskim. Grace skrzywiła się i rozejrzała po ciemnym pomieszczeniu. Całą jedną ścianę zajmowały piętrowe łóżka. Resztę umeblowania stanowiły byle jaki stół, zniszczona sofa z niepasującymi poduszkami, i koślawy fotel. Kuchnia składała się z blatu ze zlewem, płyty do podgrzewania potraw i małej lodówki. Ledwo wiszące na zawiasach, otwarte drzwi pozwalały zajrzeć do wyjątkowo nędznej łazienki.

- Ładne miejsce, nie ma co - bąknęła.

- Należy do przyjaciela. Zaprosił mnie kilka razy na ryby. Wiem, że drażni taką księżniczkę jak ty, ale dobrze posłuży moim celom, kuzynko.

- Nie nazywaj mnie tak, ty dupku. Na szczęście, nie jesteśmy spokrewnieni.

- Zawsze byłaś zadziorna.

Nie podobało jej się jego śliskie spojrzenie.

- Może będę cię musiał potraktować jak Hope.

- Chcesz się założyć?

Twarz, którą tak zachwycała się kiedyś jej kuzynka, miała teraz wyraz drwiącej pogardy.

- Zobaczymy, jaka będziesz mądra, kiedy z tobą skończę.

Pociągnął ją przez pomieszczenie i obrócił, aż stanęła twarzą do jednego ze zwiniętych materaców na górnym łóżku. Czowała, że majstruje przy kajdankach na jej lewym nadgarstku, a kiedy ręka zwisała jej wolno, poczuła przejmującą ulgę.

Zdawała sobie sprawę, że ma tylko trzy lub cztery sekundy, by zawalczyć o wolność, ale zanim rozprostowała zdrętwiałe palce, Petrie znów ją odwrócił i błyskawicznie przykuł do konstrukcji łóżka.

- Rozgość się, kuzynko. Upłynie jeszcze chyba trochę czasu, zanim zaczniesz się zabawa.

Bez pośpiechu położył wytłaczany skórzany pokrowiec na stole, rozpiął go i zaczął składać strzelbę.

Grace usiadła na lekko wilgotnym, zwiniętym materacu, starając się nie naciągać przykutej ręki.

- No dobra, Jack - odezwała się. - Chyba możesz mi powiedzieć, skoro i tak zamierzasz mnie zabić.

- Chcesz wiedzieć, jak cię znalazłem? Czy jak się dowiedziałem o tej dziwce mojej żonie i tym bogatym dupku, za którego wyszłaś?

- Jedno i drugie.

- Trochę mi to zajęło - przyznał. - Szukałem, odkąd Hope mnie opuściła. Sprawdzalem rejestry stanu i hrabstwa, dzwoniłem do różnych departamentów policji, przeszukiwałem spis osób zaginionych...

Grace regularnie sprawdzała, czy w systemie nie pojawiły się dane Hope.

- Nic nie znalazłem, dopóki nie trafiłem na twoje świadectwo ślubu w bazie danych teksaskiego urzędu. Pogadałem sobie z asystentką sędziego Honeywella. Zachwycała się bez końca, jaka to piękna z was para. Wróciłem prosto do domu i siadłem do komputera - uśmiechnął się drwiąco. - Znalazłem całe mnóstwo informacji o Daltonach z Oklahoma City, ale niewiele o tobie. Pomyślałem, że musi być tego jakiś powód, więc pogrzebałem głębiej i znalazłem podanie do urzędu hrabstwa o ustalenie ojcostwa niejakiej Margaret Molly Dalton. - Uśmiech zmienił się w twardy grymas. - Wykonałem kilka telefonów, kuzynko,

i ustaliłem, że kobieta odpowiadająca wyglądem tobie, pojawiła się u Daltonów niemal jednocześnie z Molly. Dziecko nie mogło być twoje, bo zbyt wiele o tobie wiedziałem. Zatem powód, dla którego rzuciłaś szkołę i zaczęłaś pracować jako niania, mógł być tylko jeden. - Maska opadła, odsłaniając czystą furię. - Bachor jest jej, prawda? Ta dziwka, moja żona, urodziła dziecko Daltonowi, a jej szlachetna kuzynka jak zwykle ruszyła jej na pomoc.

- Jack...

- Zamknij się! Nawet nie próbuj kłamać. Świadcstwo urodzenia dziecka było dołączone do tamtego podania. Nie potrzeba geniusza, żeby powiązać jej narodziny ze świadectwem zgonu wydanym przez ten sam urząd w Kalifornii.

Zerwał się od stołu, wściekły, ledwo nad sobą panujący. Grace próbowała się nie wzdrygnąć, kiedy szedł w jej stronę.

- Ona tam umarła. A ty nie pozwoliłaś mi nawet pochować mojej żony.

- Jack, proszę. Ona...

- Zamknij się!

Spoliczkował ją tak silnie, że uderzyła głową w metalową konstrukcję łóżka. W ustach poczuła smak krwi, a przed oczami pojawiły jej się ciemne plamy.

- Zapłacisz mi za to, ty dziwko. Ty i Dalton.

Złożywszy tę kategoryczną obietnicę, Petrie wrócił do stołu i podniósł strzelbę. Grace wciąż przelykała gorącą krew, kiedy drzwi zatrzasnęły się za nim z łoskotem.

Kręciło jej się w głowie, a cały bok twarzy płonął żywym ogniem. Przyłgnęła policzkiem do chłodnego metalu i pomimo bólu próbowała myśleć.

Chata stała na zboczach, co zapewniało widok na drogę dojazdową. Podpływająca łódź byłaby równie widoczna. Nie mogła i nie zamierzała czekać, aż Petrie dostanie Blake'a.

Oddychając przez nos, zdołała unieść głowę i spojrzeć na górne łóżko. Zwinięty materac odsłaniał sprężyny osadzone w metalowej ramie. Próbowwała przyjrzeć się uważnie, ale kołowanie w głowie utrudniało ocenę sytuacji. A jednak... rama chyba nie była przymocowana na stałe. Poczwała pierwszy, od momentu odzyskania świadomości, błysk nadziei.

Gdyby zdołała unieść ramę z metalowych podpór i zsunąć tamtędy kajdanki... Położyła się na materacu i nasłuchiwała przez chwilę odgłosów świadczących o powrocie Petriego, ale słyszała tylko łomot własnego serca. Nie odrywając wzroku od drzwi, uniosła biodra i podłożyła stopy pod róg ramy nad sobą.

Nawet nie drgnął. Zacisnęła zęby i pchnęła jeszcze raz. Zardzewiały metal zaskrzypiał i poruszył się o milimetry. Grace stęknęła z wysiłku i rama uniosła się do połowy podpory. Trzaśnięcie siatkowych drzwi kazało jej natychmiast opuścić nogi.

- Porozciągałem na zewnątrz trochę drutów - pochwalił się Petrie. Nonszalancko rzucił na stół jakiś urządzenie na baterie. - Nie chcemy, żeby twój mąż nas tu zaskoczył, prawda? Teraz możemy już tylko czekać.

Żadne z nich nie mogło przewidzieć, że elektroniczne urządzenie zadziała na niekorzyść Petriego.

Grace była przerażona; minuty rozciągały się w godziny. Kiedy urządzenie w końcu zapikało, serce omal nie wyskoczyło jej z piersi. Petrie chwycił strzelbę i dopadł drzwi. Zostawił je otwarte, dzięki czemu mogła go widzieć, rozciągniętego za słupkiem z pustaków, z bronią gotową do strzału. Nerwowo przeturlała się na plecy i pchnęła stopami ramę.

- To ty, Dalton? - Ja. Idę.

Róg ramy spadł, omal nie uderzając jej w twarz. Jakoś udało jej się przytrzymać kajdanki i wydały tylko lekkie brzęknięcie. Na szczęście Petrie go nie usłyszał. Był cały pochłonięty obserwacją postaci wchodzącej po zboczu.

- Idź powoli! - wrzasnął. - I trzymaj ręce nad głową.

Zdyszana od wysiłku Grace zdołała w końcu zsunąć kajdanki z pręta, ale stalowa bransoleta zwisała z jej nadgarstka, kiedy desperacko szukała jakiegokolwiek broni. Jedynym, co nie było przymocowane, okazały się wędki. Ostatecznie mogły się do czegoś przydać. Złapała jedną i usiłowała oddzielić ją od pozostałych, kiedy znów usłyszała wrzask Petriego.

- Zatrzymaj się!

Teraz widziała Blake'a, nieuzbrojonego, stojącego stanowczo zbyt blisko śmiertelnej strzelby.

- Zamierzam się z tobą policzyć, Dalton. Powoli. Może najpierw przestrzelę ci kolano.

- Co tylko ci się podoba, Petrie. Tylko najpierw uwolnij moją żonę.

- Na twoim miejscu nie liczyłbym na to. Z nią też zamierzam się policzyć.

Dwa długie piknięcia zatrzymały go na miejscu. Instynktownie przechylił głowę w kierunku urządzenia wykrywającego ruch, które wciąż leżało na stole. Grace wiedziała, że to jej jedyna szansa. Rzuciła się przez otwarte drzwi, z uniesioną dłonią zaciśniętą na wędzisku i z całej siły smagnęła Petriego po twarzy.

- Suka!

Chwycił ją za ramię i odrzucił. Uderzyła w twardą ziemię i kątem oka zdołała dostrzec mijającego ją w pędzie Blake'a. Przekręciła się na biao oszołomiona i drżąca, kiedy z zarośli po przeciwnej stronie polany wynurzyła się druga postać i pomknęła w stronę chaty. Kroki Aleksa zadudniły na ganku,



ale Blake nie potrzebował pomocy brata. Grace, która zdołała się podnieść, widziała wszystko jak na dłoni.

Blake powalił Petriego na plecy, siedział na nim okrakiem i tłukł go pięściami po twarzy z zabójczą precyzją. Oszołomiona Grace nie mogła się nadziwić, skąd korporacyjny prawnik ma tak wyszkolony cios... ale zaraz przypomniała sobie opowieści Delilah o niełatwym dzieciństwie synów na polach naftowych Oklahomy i zobaczyła na własne oczy furję, którą jej mąż wkładał w każdy cios.

W końcu musiał interweniować Alex.

- Dostyc, bo go zabijesz.

Złapał go za ramię i ściągnął z Petriego, który był teraz zupełnie nie do rozpoznania.

- Uważajcie, on ma jeszcze pistolet. - Złapała się ręką podpory z pustaków i oddychała z trudem. - Za paskiem spodni. Z tyłu.

Blake przekreślił mężczyznę na brzuch, znalazł pistolet i podał go bratu.

- Gdyby spróbował się ruszyć, rozwał mu głowę. Potem znalazł się obok niej i z przerażeniem oglądał sińca po uderzeniu Petriego.

- Nic mi nie jest - uspokoiła go, zanim zdołał się odwrócić, by mu jeszcze raz odpłacić. - Przeraziłam się tylko.

- Ja też - przyznał chropawo, obejmując jej twarz zakrwawionymi dłońmi. - Tak strasznie się bałem, że nie zdążymy na czas.

Nie pytała, jak ją odnalazł. Szczegóły nie miały znaczenia. Teraz pragnęła tylko wtulić się w jego mocne, gorące ramiona.

Odsunął ją na tyle, by móc spojrzeć jej w oczy, ale nadal trzymał w uścisku.

- Nigdy ci nie powiedziałem, że cię kocham. To mnie męczyło przez całą drogę tutaj.

Uśmiechnęła się drżąco.

- A skoro już tu jesteś...

- Kocham cię, Grace. Przepraszam, że to trwało tak długo, że omal cię nie straciłem, zanim zrozumiałem, jak bardzo. Może któregoś dnia zdołasz mi to wybaczyć.

- Już ci wybaczyłam. A ty może mi kiedyś wybaczysz, że troska o przyrzeczenie dane Anne uczyniła mnie ślepą na to złożone tobie.

- Już ci wybaczyłem.

Wspięła się na palce i bardzo ostrożnie musnęła jego wargi swoimi.

- Ja też cię kocham. Bardzo. - W te proste słowa włożyła całe serce. - Tak bardzo, że nie pamiętam, jak to było nie kochać ciebie. Proszę, zabierz mnie do domu.

## EPILOG

Delilah nalegała, by pierwsze urodziny wnuczki obchodzić z uroczystą pompą. Jako jedna z najhojniej wspierających zoo, zdecydowała, że uroczystość odbędzie się właśnie tam i zaangażowała w przygotowania cały swój personel.

Na liście gości znajdowało się co najmniej pięćdziesięcioro jej najbliższych przyjaciół, wszyscy potencjalni ofiarodawcy środków na budowę nowej ptaszarni, a także wszystkie dzieci zrzeszone w miejscowym Stowarzyszeniu Olimpiad Specjalnych.

Louis, jej majestatyczny kamerdyner, przygotował projekt kolorowych zaproszeń z rysunkiem gadającej papugi. Szef kuchni upiekł sześciowarstwowy tort z motywem dżungli. Resztę menu litościwie miał dostarczyć catering.

Oczywiście przy organizacji uroczystości zostały też zatrudnione obie synowe i ich mężowie. Delilah zażądała od nich pełnego oddania, nie bacząc na ich inne obowiązki, co okazało się szczególnie trudne dla Julie, bo Grace już wcześniej odłożyła plan powrotu do nauczania na rok lub dwa.

Kiedy wielki dzień w końcu nadszedł, Delilah obarczyła synowe zadaniem witania gości i wręczania im prezentów w postaci toreb wypełnionych najróżniejszymi zabawnymi drobiazgami. Alex miał wozić wózkiem golfowym dzieci mające kłopoty z chodzeniem, a Blake pomagał koordynatorowi olimpiad specjalnych organizować gry i zabawy dla dzieci z różnego rodzaju niepełnosprawnością. Krzywonogi przyjaciel Delilah, Dusty Jones, wraz z grupą wolontariuszy z DI, serwowali lemoniadę, popcorn i watę cukrową na stoiskach rozstawionych po całym terenie zoo.

Nawet Molly brała czynny udział w uroczystości. Gaworząc w sobie tylko znanym języku, bawiła się z każdym,

kto chciał, i dreptała niepewnym krokiem za kolorową plażową piłką.

W końcu nadszedł czas na zdmuchnięcie świeczki i pokrojenie tortu. Molly z każdym dniem stawała się coraz bardziej podobna do młodej Hope, szczęśliwej, roześmianej dziewczynki, z którą Grace spędzała dzieciństwo. Grace mocno przytuliła córeczkę i na moment wróciła pamięcią do tamtych szczęśliwych chwil.

Zaraz jednak dostrzegła Blake'a torującego sobie drogę przez tłum. Na ramionach niósł uśmiechniętego chłopca z aparatem ortopedycznym na nogach, który wymachiwał energicznie jedną ręką, a drugą kurczowo trzymał Blake'a za włosy. Kiedy dotarli do matki chłopca, Blake przykucnął, by mogła bezpiecznie zdjąć malca, i przez chwilę z nią rozmawiał.

Serce Grace ścisnęło się wzruszeniem. Czyż życie mogło być pełniejsze? Ten dobry, troskliwy, niezwykle seksowny mężczyzna nadał nowy, głęboki sens jej życiu. On, Molly i dziecko, które już rosło w jej brzuchu. Nigdy nie przypuszczała, że będzie aż tak bardzo szczęśliwa.

Na widok ojca Molly rzuciła się ku niemu z radosnym okrzykiem:

- Tata!

Na szczęście Grace, nauczona doświadczeniem, zawsze trzymała ją mocno za nóżki, więc teraz mała zawisła głową w dół jak prawdziwa gimnastyczka, dopóki Blake jej nie odwrócił.

- Sprytna z ciebie dziewczynka.

- Sprytna - powtórzyła jak echo z bezpiecznego schronienia w jego ramionach. - Molly sprytna.

- Wyjątkowo.

Przytulił ją do piersi i wolną ręką objął Grace.

- Mama kazała mi zwołać wszystkich na dzielnie tortu.

- Mnie też. Lepiej jej posłuchajmy.

Na ścieżce do ptaszarni spotkali Julie i Aleksa.

- Wujek! - Molly wyciągnęła rączki i powędrowała w ramiona Aleksa.

Bracia podeszli do stołu z tortem i innymi łakociami, a Julie i Grace zostały z tyłu.

- Kiedy chcecie powiedzieć Delilah, że jesteś w ciąży?

- Może po przyjęciu? Będzie zbyt zmęczona, by wpaść do naszego domu i zacząć urządzać pokój dziecienny.

- Cóż, nie byłabym tego taka pewna. - Miedzianowłosa zawahała się przez chwilę, a potem uśmiechnęła się nieśmiało.

- Wiesz, nie chciałabym ci odbierać tej chwili tryumfu, ale...

- Julie! - Grace chwyciła ją w objęcia. - Ty też?

- Też, pod warunkiem, że test ciążowy, który zrobiłam dziś rano, nie był wadliwy.

- Fantastycznie! Delilah będzie musiała rozdzielić swoją energię na nas obie!

Obie wybuchnęły nieposkromionym śmiechem.

Czekali z przekazaniem teściowej nowin aż do wyjścia ostatniego gościa. Rodzina usiadła pośród resztek przyjęcia, żeby złapać oddech, zanim przyłączą się do ekipy sprzątającej. Molly spała w wózku ustawionym pomiędzy Grace i Blakiem. Alex wyciągnął długie nogi przy stole piknikowym, a Julie usiadła obok niego. Delilah zajęła składany fotel i westchnieniem aprobaty przyjęła masaż karku zaproponowany przez Dusty'ego. W jej twarzy widać było zmęczenie, ale oczy rzucały wesołe błyski, kiedy patrzyła na flaczejące balony i konfetti w kształcie zwierzątek porzrucane dosłownie wszędzie.

- Przyjęcie chyba się udało, jak sądzicie?

- Chyba tak - zgodził się Blake leniwie. - Ile udało ci się wydusić z twoich przyjaciół?

- Ponad sto tysięcy. Nie mogli odmówić, kiedy im obiecałam, że moi synowie dołożą drugie tyle.

Na to beztraskie sięgnięcie do ich kieszeni mogli tylko zamrużyć z niedowierzaniem.

- Połowa pójdzie na Stowarzyszenie Olimpiad Specjalnych - kontynuowała Delilah, krzywiąc się, kiedy wprawne palce Dusty'ego znalazły wyjątkowo bolesne miejsce. - Reszta powinna starczyć na nową ptaszarnię. Dyrektor zoo był zachwycony.

Grace i Julie wymieniły spojrzenia, potem obie zerknęły znacząco na swoich mężów. Blake odezwał się pierwszy.

- Grace i ja też mamy pewne ekscytujące nowiny. Delilah obrzuciła Grace baczym spojrzeniem przenikliwych, niebieskich oczu.

- Wiedziałam! Jesteś w ciąży! - Roześmiała się z tryumfem i zwróciła się do Dusty'ego. - A nie mówiłam, że to kasłanie przy śniadaniu w zeszłym tygodniu to nie było przeziębienie?

- Mówiłaś.

Delilah z kolei zwróciła przenikliwe spojrzenie na Julie.

- A ty? Myślałam, że to dlatego przestałaś pracować ze środkami chemicznymi pół roku temu. Bo próbujecie mieć dziecko.

- Nie próbujemy. Mamy.

- Hura!

Radosny okrzyk Dusty'ego obudził Molly, która tylko zamrużowała i szybko zasnęła z powrotem.

- Będę potrójnym dziadkiem. I to nie tylko honorowym. - Popatrzył na Delilah spod runda kowbojskiego kapelusza. - To chyba dobra chwila, żeby ogłosić naszą nowinę, Del.

- Chyba tak.

Bransoletka z szafirów, którą nosiła na nadgarstku, zamigotała, kiedy wyciągnęła do niego rękę. Zanim jednak zdążyła wstać, obaj synowie i synowe zerwali się z miejsc.

- Czas, żebyś zrobiła z niego przyzwoitego człowieka. - Alex uśmiechnął się szeroko, biorąc ją w objęcia, po czym ustąpił miejsca Blake'owi.

- Zastanawialiśmy się, kiedy wy dwoje w końcu się ujawnicie.

Ku rozbawieniu wszystkich obecnych Delilah zarumieniła się jak nastolatka. Dusty promieniał, a jego narzeczoną objęła z kolei Julie.

- Bardzo się cieszę. - Z uśmiechem zwróciła wzrok na jej partnera. - Jeżeli ktokolwiek potrafi utrzymać cię z dala od kasyna, ty stary draniu, to tylko Delilah.

Grace czekała na swoją kolej z sercem aż boleśnie przepełnionym miłością. Obiecała Hope, że odda Molly ojcu i postara się, by była kochana. Dziś obie były kochane. Czuła tę miłość, kiedy Delilah wzięła ją w ramiona, a ponad ramieniem teściowej pochwyciła spojrzenie męża.

Cokolwiek się wydarzy, cokolwiek jeszcze przed nimi, jego miłość będzie przy niej zawsze.